

Rok XL

Nr e-234 (430)

Kwiecień 2026

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



SPIS TREŚCI – KWIECIEŃ 2026

Z NASZEGO REGIONU

Czarny szlak przez Czarnotę	<i>Bartosz Skowroński</i>	3
W Rudawach Janowickich	<i>Krzysztof Gdula</i>	5
Drugowojenna fabryka części lotniczych Arado w Kamiennej Górze	<i>Marian Gabrowski</i>	8
Kamiennogórska Brzoza Generała Fouquégo	<i>Marian Gabrowski</i>	14
Kynast. Legenda o szlachetnym rycerzu	<i>Maciej Mischok</i>	17
Kaplica na Śnieżce jako schronienie dla wędrowców	<i>Ullrich Junker</i>	18
Witraże wrocławskich kościołów (7)	<i>Danuta Lesiów, Martyna Michniewicz, Tomasz Lesiów</i>	19
CYTAT MIESIĄCA	<i>Juliusz Wysłouch</i>	14

OJCZYSTE SZLAKI

Początki patrymonium w Pieninach	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	23
Bydgoska fara	<i>Maciej Lewan</i>	25

TRASA MIESIĄCA

Ćwilin dobry na wiosnę	<i>Mirosław J. Barański</i>	29
----------------------------------	---------------------------------------	----

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Niebezpiecznie w końcu zimy	<i>Juliusz Wysłouch</i>	33
---------------------------------------	-----------------------------------	----

GLOBTROTER

Türkiye (Turcja) zaprasza na wielkanocną podróż śladami wiary, historii i oznak wiosny	<i>Biuro prasowe Biura Rady ds. Kultury i Informacji Ambasady Turcji w Polsce</i>	34
Góry na winie: Mont Ventoux.	<i>Mirosław J. Barański</i>	36
Narwik – miasto pamiętające	<i>Maciej Lewan</i>	38
Wspomnienia ze wschodu (1).	<i>Janusz Fuksa</i>	43

ROZMYŚLANIA NA SZLAKU	<i>Stanisław Nosol</i>	45
---------------------------------	----------------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

O XXVI Spotkaniu Śladowym w Bieszczadach.	<i>Juliusz Wysłouch</i>	46
Rajd na Raty 2026 – rozpoczęcie sezonu	<i>Krzysztof Tęcza</i>	48
Trylobity w Muzeum Przyrodniczym.	<i>Krzysztof Tęcza</i>	49
Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (58).	<i>Józef Sykulski</i>	51

SYLWETKI „NA SZLAKU”

August Froehlich – zapomniany syn Chorzowa, śląski obrońca polskich wiernych	<i>Maciej Mischok</i>	52
---	---------------------------------	----

SUDETY W POEZJI (40).	<i>Bogusław Michnik</i>	54
-------------------------------	-----------------------------------	----

Na okładce: Kwiecień na Jurze (Skały Rzędkowickie). Fot. Mirosław J. Barański

Czarny szlak przez Czarnotę

Jeszcze stosunkowo niedawno w partie wierzchołkowej położonej na krańcu Gór Wałbrzyskich – i w całości znajdującej się w granicach Wałbrzycha – tytułowej Czarnoty (529 m n.p.m.) nie prowadził żaden szlak turystyczny. Owszem niżej biegły (i biegną) różne szlaki, w tym rowerowe, ale w rejon wierzchoł-

w – nieco zdezaktualizowanym już za sprawą upływu czasu – artykule pt. *Czarnota – góra z „palmą”*, który ukazał się na tutejszych łamach („Na Szlaku”, nr e-99 [295] ze stycznia 2015 r.).

Niniejszym skoncentruję się jedynie na tytułowym szlaku na tej właśnie górze – kolorystycznie doskonale pasującym do jej nazwy. Gdzie owa trasa wkracza na zbocza Czarnoty? Jedno z dwóch takich miejsc znajduje się bardzo blisko od... lustra wody – płynącej „u stóp” Czarnoty – rzeki.

Kładka nad Pelcznicą i schody na górskim zboczach

Czarny szlak wiodący od strony ul. Romana Piotrowskiego doprowadza bowiem do kładki nad nią. Ta rzeka to Pelcznica, która nieco dalej i troszkę niżej, u podnóży Czarnoty opuszcza Góry Wałbrzyskie i wpływa na teren Pogórza Wałbrzyskiego.

Praktycznie tuż po przejściu wspomnianą kładką znajdziemy się na zboczach Czarnoty. Tam czarny szlak wiedzie schodami mozolnie do



Stara tabliczka w rejonie ul. Rodziny Burczykowskich. Stan z marca 2026 r.

ka nie wiódł żaden z nich. Zmieniło się to po utworzeniu szlaku łączącego rejon stacji kolejowej Wałbrzych Szczawienko z rejonem przystanku kolejowego Wałbrzych Centrum. Owa znakowana kolorem czarnym trasa umożliwia bowiem także dojście w górne partie Czarnoty – góry nie najwyższej wprawdzie, ale mającej, przynajmniej z niektórych stron, dość przykuwającą wzrok, bochenkowatą sylwetę. Kształtem niektóre jej zbocza przypominają trochę taką równię pochyłą, choć góra ta ma także pewne zbocza dość strome. Interesujący jest jednak nie tylko krajobraz Czarnoty. Góra ta i jej podnóża mogą nam bowiem „zaoferować” niemało krajoznawczych ciekawostek. O tych ostatnich pisałem



Stara tabliczka i dwie inne, o których mowa w tekście. Stan z sierpnia 2013 r.



Czarny szlak w partiach wierzchołkowych Czarnoty

góry. Schody te doprowadzą nas do ul. Rodziny Burczykowskich (uwaga na ruch pojazdów!). Za ulicą tą szlak prowadzi też pod górkę (już gruntową dróżką). Wiedzie jednak znacznie łagodniej niż owymi schodami. Zanim jednak ruszymy tą dróżką warto zerknąć na bardzo starą tabliczkę przymocowaną do jednego z drzew. Zamieszczony na niej lata temu tekst da się nadal łatwo odczytać, a brzmi on tak: „*Palenie SUROWO WZBRONIONE*”. Taki stan miał miejsce w marcu 2026 r. Z kolei w sierpniu 2013 r., a więc długo przed tym zanim wyznaczono tytułowy szlak, poniżej wspomnianej tabliczki znajdowała się inna bardzo stara tabliczka, a także jeszcze inna informująca m.in. o wiatrolomach. Te dwie ostatnie tabliczki to już przeszłość.

Łagodnie pod górkę „równią pochyłą”

Tymczasem wspomnianą wcześniej dróżką pieszy szlak czarny – tak jak „towarzyszący” tu mu niebieski szlak rowerowy – wiedzie łagodnie coraz wyżej. W porach bezlistnych, na lewo, da się w pewnym miejscu zobaczyć – trochę zza gałęzi – co nieco dalej, w tym wysokie bloki mieszkalne Piaskowej Góry; na pierwszym planie widać natomiast zabudowania ul. Rodziny Burczykowskich. Wspomniana Piaskowa Góra to część Wałbrzycha położona fragmentarycznie w Górach Wałbrzyskich, a trochę na Pogórzu Wałbrzyskim. Biorąc pod

uwagę najnowszy podział geograficzny Polski leży ona więc częściowo w Sudetach Środkowych (Góry Wałbrzyskie), a częściowo na Pogórzu Zachodniosudeckim (Pogórze Wałbrzyskie). Szlaki – pieszy czarny jak i rowerowy niebieski – zakręcają natomiast wyraźnie w prawo (gdy udajemy się nimi od strony ul. Rodziny Burczykowskich) i nadal prowadzą łagodnie pod górkę przez rozległe lasy mieszane. W tych lasach bardzo duży udział mają drzewa liściaste. Kawalek dalej i wyżej niebieski szlak rowerowy skręca w lewo (gdy udajemy się nim od strony wspomnianej ostatnio ulicy). Czarny natomiast odbija najpierw w prawo, ale zaraz też w lewo i dalej wiedzie prosto pod górkę. Ten fragment trasy kojarzy się mi z równią pochyłą. Czarnota, dzięki swemu bochenkowatemu kształtowi może bowiem wywołać takie skojarzenia. Przynajmniej kawałeczek jest pod górkę, ale tak płaskawo. W podłożu da się w pewnym miejscu dostrzec małe skalne odłamki. W końcu jest wyraźniejsze podejście na grzbiecik.

Szczyt poza szlakiem

I tak oto czarny szlak przez Czarnotę osiąga swój najwyższy punkt – ok. 520 m n.p.m. Sam wierzchołek jak i szczyt wznoszą się kawałek poza szlakiem (na prawo, gdy przyjdziemy nim od strony wspomnianej kładki na Pelcznicy). Mimo, że tytułowa góra nie jest



Wierzchołek Czarnoty widziany z tytułowego szlaku

żadnym rewelacyjnym punktem widokowym warto opuścić na moment szlak i podejść na jej wierzchołek i szczyt. Czuć tam już klimat gór. Ba – na jednym z drzew jest nawet tabliczka z numerami alarmowymi do GOPR-u.

Teraz już w dół

Jeżeli na Czarnotę przyjdziemy czarnym szlakiem od strony ww. kładki, a chcemy iść nim dalej to teraz, aż do podnóży tej góry czekać nas będzie wędrówka łagodnie w dół. Nieco niżej czarny szlak pieszy odbija wyraźnie w lewo i – tak jak szlak rowerowy, do którego on dochodzi – sprowadza dalej łagodnie w dół. Na skraju lasu i polany (polana trochę jak równia pochyła!) czarny szlak skręca w prawo (gdybyśmy doszli nim tu z górnych partii tytułowej góry).

Co dalej?

W zasadzie – będąc w ostatnio napomkniętym miejscu – znajdziemy się u podnóży Czarnoty. Jak chcemy to możemy oczywiście przejść taką samą trasę, którą już pokonaliśmy tylko w odwrotnym kierunku. Znacznie ciekawiej jednak poznać coś innego.

Można więc dla przykładu pomaszerować pieszym szlakiem czarnym do jego styku też z pieszym niebieskim (fragmentem E3) i owym niebieskim zejść w rejon zabudowań Starego Zdroju – dawnego uzdrowiska, dziś będącego częścią Wałbrzycha. Za znakami tego niebieskiego można dojść także przed budynek dworca kolejowego stacji Wałbrzych Miasto.

Czarnota świetnie nadaje się na krótką wycieczkę górską. Można dla przykładu przyjechać do Wałbrzycha (na stację Wałbrzych Miasto) pociągiem od strony Wrocławia. Z rejonu tej stacji natomiast przejść się chodnikiem wzdłuż ulic Armii Krajowej i Wrocławskiej do styku tej ostatniej z ul. Romana Piotrowskiego. W rejonie wspomnianego ostatnio styku wejdziemy na tytułowy czarny szlak i możemy nim udać się w wyższe partie Czarnoty, po czym zejść nim z niej, dojść do wspomnianego niebieskiego i tym ostatnim pomaszerować aż pod budynek wspomnianego dworca.

Bartosz Skowroński

W Rudawach Janowickich

Wsobotę miałem mnóstwo prac gospodarczych (odnoszę wrażenie podrzucania mi brudnych ubrań) i do ustalenia trasy usiadłem wtedy, gdy już powinienem spać, skoro miałem wstać o trzeciej nad ranem. Po łepetynie płątała mi się myśl o Rudawach, na mapie zobaczyłem wieś Bukowiec, wokół niej trochę otwartych przestrzeni i dróg, paręgórek ze skałami, no i w tej chwili miałem plan: pojedę tam i pokręcę się po okolicy.

Na szlak wyszedłem w szarą godzinę przedświtu, a kiedy wszedłem wyżej na odkryte zbocze jakiegoś wzgórza i się odwróciłem, po raz pierwszy tego dnia westchnąłem z ukontentowania: blisko, ledwie o parę kilometrów, olbrzymiała granatowa dołem, górą biała ściana Karkonoszy uwieńczona Śnieżką.

Godzinę kręciłem się po bliskiej okolicy, czekając na pojawienie się słońca, a później po prostu nie mogłem się zdecydować na pójście dalej. To miejsce, łąkę na niewielkim wzgórzu w pobliżu wsi, zapisuję do mojej elitarniej listy dobrych miejsc na postawienie domu. Oczywiście, po wygraniu w totka; może więc powinienem w końcu zacząć grać.

Śnieżka zawsze wygląda cudnie w blasku pierwszych promieni słońca, a chwali się tą swoją świetlistą urodą już wtedy, gdy niżej, czyli w całych Sudetach,

szarość dopiero jaśnieje w oczekiwaniu na początek dnia. Na moich zdjęciach nie widać tego wyjątkowo subtelnego odcienia żółci przyprószonej diamentowym pyłem, z jakim świecą śniegi na wschodnim zboczu góry. Tym bardziej nie zobaczy się powolnych, ale nieustających przemian tej barwy, powiem więc tylko, że dla tego jednego widoku warto było wstać w środku nocy i jechać na kraj świata bocznymi drogami zbudowanymi głównie z dziur w asfalcie.

Słońce zobaczyłem późno, bo musiało wznieść się nad zasłaniający je masyw górski, dlatego od razu świeciło jaskrawo. W jednej chwili, w minutę, bliskie wzgórza, tak mało przecież kolorowe zimą, a przed wschodem dodatkowo zszarzałe, rozplamione się ciepłymi, intensywnymi barwami żółci i pomarańczy. Jej, jak mi trudno nazywać te kolory!

Przez cały dzień, a byłem blisko 10 godzin na szlaku, wiele razy widziałem na horyzoncie Karkonosze albo chociaż ich mały skrawek i zawsze zadziwiał kontrast barw: tam jaskrawa biel śniegów, blisko szarość drzew i spłowiła zieleń łąk; daleko zima jak z marzenia, blisko mało urokliwe przedwiośnie, które o śnieżnej zimie już zupełnie zapomniało.

Drugim obrazem dnia były Sokoliki, dwie bardzo podobne, kształtne góry. Mówi się, nota bene, że



Przed wschodem słońca, w dole domy Bukowca



Karkonosze rankiem



Śnieżka o poranku

przypominają cycki Bardotki – na pewno takie skojarzenia mają faceci w moim wieku, bo młodzi pewnie już nie wiedzą, kim była Bardotka. Na Sokoliki na pewno będę wracał, ponieważ czarują wielką liczbą dużych i bardzo fantastycznych skał, a także widokami. Poznanie wszystkich większych skał tych dwóch niedużych przecież gór jest zadaniem na kilka dni wędrówek, nierzadko bez szlaku. Mają i wadę: ich

popularność. W pogodne dni weekendowe trudno tam o ciche sam na sam z przyrodą.

Trzecim powracającym motywem były lipy. Samotne albo tworzące aleje, przydrożne albo rosnące gdzieś daleko, duże albo wielkie, a wszystkie ładne – jak to lipy, którym przecież łatwo przychodzi sztuka podobać się ludziom. Ten dzień mogę nazwać dniem Rudaw, ale i równie trafnie dniem lip. Oglądałem kilka okazji pomnikowej wielkości, próbując ustalić, czy są szeroko czy wąskolistne. Coraz lepiej udaje mi się rozpoznać po korze, ale bez zobaczenia nasion nigdy nie mam pewności, więc szukałem ich pod drzewami, dając kierowcom przejeżdżającym samochodów powód do łamania głowy. Lipy okazały się być szerokolistne. Co za różnica? Może i niewielka, ale daleka (i przez to dająca wytchnienie) od obrazów warcholów pokazywanych w telewizorni.

Właściwie każdy wzgórek, nawet najmniejsze wzniesienia na łące, ma swoją grupę skałek albo chociaż jedną. Najliczniejsze są Karpnickie Skałki stojące na szczycie wzgórza o nieznanym mi nazwie. Nie są duże, mają ledwie kilka metrów wysokości, ale przecież i one mają urok nieożywionej natury, chociażby w fantastycznych kształtach skalnych złomów, w ich ułożeniu tworzącym liczne zakamarki, ale też i w odosobnieniu, bo do popularnych nie należą. Silną konkurencję mają blisko, wszak Rudawy Janowickie słyną z niepoliczonych (bo i któż je policzył?) liczby skał.

Ze zbocza górki ozdobionej Karpnickimi Skałkami jest dobry widok na Sokoliki i zamek w Karpnikach. Na zboczu Krzyżnej Góry

widać skałę sporo wystającą ponad las, to Jastrzębia Turnia, chyba najwyższa skała obu gór, czyli Sokolików. Już dwukrotnie oglądałem od podstawy tę czterdziestometrową skałę, która, jeśli patrzymy na nią z góry, wydaje się mieć ochotę do lotu.

Skręciłem w drogę wiodącą w stronę zamku w Karpnikach, ale widząc tablicę z zakazem wejścia



Karpnickie Skałki, spiętrzenie skał



Karpnickie Skałki



wiszącą na zamkniętej bramie, zawróciłem mimo możliwości przejścia bokiem; skoro właściciel nie chce... Później okazało się, że można było podejść pod zamek od strony głównej bramy. Nie jest ruiną, obecnie jest tam hotel. Sprawdziłem ceny, wynoszą około 700 zł, czyli tak, jak się spodziewałem: irracjonalnie wysokie progi. Za takie pieniądze spędzę tydzień na sudeckich włościach.

Wracałem wioskową uliczką, ale widząc odsłonięte wzniesienie, skręciłem na łąki, chcąc zobaczyć spektakl zachodu. Był inny, nietypowy, ale równie piękny jak wschód. Mocne, do ostatniej chwili oślepiające słońce w ciągu dosłownie minuty schowało się za nieodległy wysoki grzbiet. Niebo nadal jaśniało pysznymi barwami zachodu, a zbocza Sokolików i Lwiej Góry długo jeszcze, może nawet pół godziny, stały w słońcu, ale blisko, wokół mnie, szybko narastał mrok. Ciepło dnia ulotniło się równie szybko, wyjąłem więc z plecaka kurtkę polarową, założyłem też grube rękawice na zgrabiące ręce i ruszyłem do wioski.

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

Krzysztof Gdula

Sokoliki i pałac w Karpnikach

Magazyn turystyczno-krajoznawczy

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Drugowojenna fabryka części lotniczych Arado w Kamiennej Górze

Mogłoby się wydawać, że temat obecności firmy Arado w Kamiennej Górze został już dawno dokładnie zbadany i szczegółowo opisany. Przedsiębiorstwo to znane było nie tylko z produkcji najnowocześniejszych samolotów odrzutowych stanowiących ewenement w realiach drugiej wojny światowej, lecz także z niezwykle śmiałych i futurystycznych koncepcji konstrukcyjnych. W biurach Arado powstawały między innymi plany „latającego skrzydła”, bombowca wyposażonego w kilka silników odrzutowych i projektowanego z myślą o zasięgu umożliwiającym naloty nawet na Nowy Jork w Stanach Zjednoczonych. Wizja ta nigdy nie wyszła poza stadium projektu i nie opuściła desek kreślarskich. Istotne pozostaje jednak to, że prace nad nowymi typami samolotów prowadzone były właśnie w Kamiennej Górze.

W czasie wojny, gdy fabryki zbrojeniowe w centralnych Niemczech stawały się celem nalotów, przedsiębiorstwa te w pośpiechu przenoszono poza zasięg alianckiego lotnictwa. Wówczas to do dzisiejszej Kamiennej Góry, wtedy Landeshut, trafiły między innymi zakłady Kugelfischer produkujące łożyska kulkowe oraz biura projektowe Arado Flugzeugwerke GmbH. Te ostatnie ulokowano w budynkach firmy Iniariskiej „F.V. Grünfeld”, którą jeszcze przed wojną naziści przejęli od żydowskich właścicieli w ramach aryzyacji mienia. Wówczas to trafiła ona w ręce berlińskiej firmy Iniariskiej Maxa Kühla. Gdy do Kamiennej Góry przenosiła się firma Arado, dla kamuflażu prowadzonej tu działalności po pewnym czasie zaczęła posługiwać się nazwą „Max Kühl Nachfolger”, czyli „Następcy Maxa Kühla”.

Choć nie zachowała się szczegółowa dokumentacja z tego okresu, to na podstawie szczątkowych zapisów obecność biur konstrukcyjnych firmy Arado była

badana i wzmiankowana zarówno przez polskich¹ jak i niemieckich² historyków. Z biegiem czasu niektórzy autorzy podkreślali też, że do Kamiennej Góry trafiły jedynie biura konstrukcyjne i nie prowadzono tu produkcji. Uwagi takie pojawiały się zarówno w opracowaniach niemieckich³ jak i polskich⁴. Następnie prace te albo przywoływano wprost⁵, albo też były one



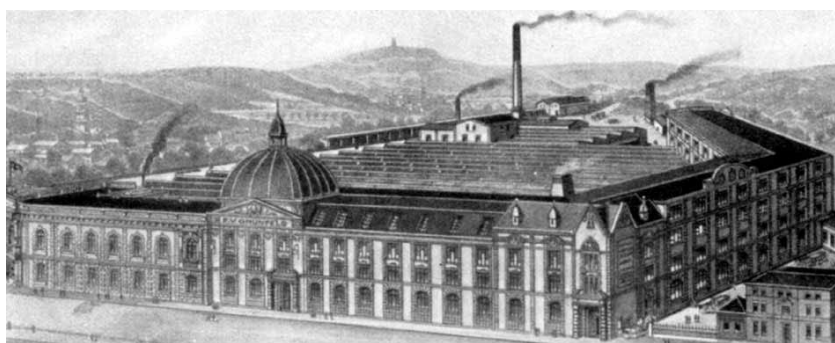
Ustawiona na zboczach Góry Kościelnej w Kamiennej Górze makieta niemieckiego bombowca odrzutowego Arado E.555. Wszystkie współczesne zdjęcia: Marian Gabrowski

punktem wyjścia do kolejnych badań, lecz zakończonych podobnymi wnioskami⁶.

Zadziwiające jest to, że nawet jeśli docierano do nowych źródeł, wyraźnie sugerujących prowadzenie w mieście produkcji, to nie korygowano wcześniejszych ustaleń. Ja również popełniłem taki błąd. W mojej pierwszej książce kamiennogórskiej firmie Arado poświęciłem cały rozdział i mimo przywołania przesłanek świadczących o istnieniu produkcji lotniczej nie zakwestionowałem wersji znanej z publikacji innych autorów⁷.

Tymczasem nie jest prawdą, że firma Arado miała w Kamiennej Górze wyłącznie biura konstrukcyjne. W rzeczywistości prowadziła tu produkcję na dużą skalę, zajmując kilka miejscowych fabryk i zatrudniając tysiące robotników. Czy istnieją dowody potwierdzające takie twierdzenia? Jest ich wiele.

Po pierwsze, warto się zastanowić, czy przydzielone firmie zabudowania rzeczywiście były odpowiednie dla działalności jedynie projektowej. We współczesnych



Grafika przedstawiająca kamiennogórską fabrykę F.V. Grünfelda



Współczesny wygląd budynku dawnej fabryki „F.V. Grünfeld”, później „Max Kühl”, gdzie swoje biura ulokowała firma „Arado Flugzeugwerke GmbH”. Nad drzwiami wejściowymi do dziś widoczny jest napis MAX KÜHL



Fragment jednej z kolumn flankujących drzwi wejściowe widoczne na poprzedniej fotografii. Wewnątrz ozdobnego kartusza monogram z literami FVG, czyli inicjałami budowniczego, Falka Valentina Grünfelda

opracowaniach pojawia się informacja, jakoby Otto Fiebrantz, dawny landrat kamiennogórski, miał wspominać: „biura Arado pracowały w budynkach firmy Kühl (wcześniej J. V. Grünfeld), firmy Leinag i fabryki fartuchów Schubert”⁸. Jednakże, gdy sięgam do wskazywanego w książkach źródła, to okazuje się, że w oryginale stwierdzenie to brzmiało nieco inaczej.

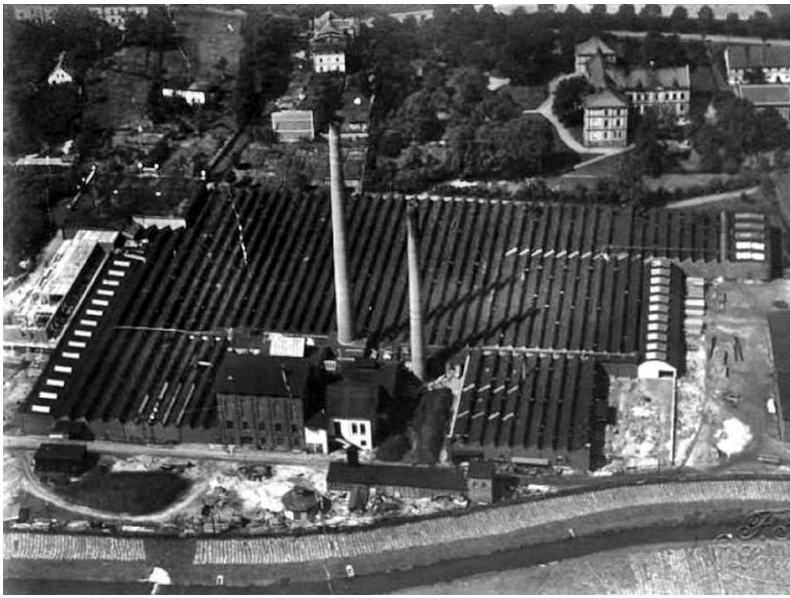
Przywoływaną tu wypowiedź Otto Fiebrantza przytaczał w swojej książce Rolf Becker. W moim tłumaczeniu na język polski brzmi ona następująco: „(...) przeniesione do powiatu kamiennogórskiego zakłady zbrojeniowe najpierw umieszczono głównie w budynkach dużych przedsiębiorstw włókienniczych w Kamiennej Górze: Kugelfischer u Kramsty, Methnera i Frahnego w »mechanicznej« (niegdyś Albert Hamburger); Arado pracowało w budynkach firmy Kühl (wcześniej J. V. Grünfeld⁹), Leinag oraz fabryki fartuchów Schuberta”¹⁰. Jak widać brak tu informacji, że w trzech fabrykach umieszczono jedynie biura projektowe Arado.

Z kolei Ernst Kunick, niemiecki historyk i mieszkawiec Kamiennej Góry w latach wojny, stwierdzał: „Zakłady lotnicze Arado z Brandenburga przejęły, pod zakamuflowaną nazwą Max Kühl Nachfolger, budynki należące do firmy Iniariskiej Max Kühl (dawniej Grünfeld) w Kamiennej Górze oraz część zakładów Leinag (dawniej Rinkel). W salach firmy Kühl, które za pomocą ścianek działowych podzielono na wiele małych biur, Arado urządziło swoje techniczne biuro konstrukcyjne, natomiast w Leinag ulokowało swój zakład produkcyjny. Pozostały fragment swojej działalności firma Kühl umieściła w części fabryki fartuchów Schuberta w dzielnicy Czadrówek”¹¹.

Pierwsza z przywołanych tu fabryk to powojenne zakłady Intermoda, a później Kamodex. We współczesnych opracowaniach, które wspominają związek tych zabudowań z firmą Arado, często zamieszcza się zdjęcia podkreślające unikalną architekturę istniejącego do dziś charakterystycznego budynku, przypominającego pałac z kolumnami, witrażami i kopułą.

Zapewne to właśnie w nim ulokowano biura konstrukcyjne. Jednak za reprezentacyjną fasadą kryły się również olbrzymie hale, w których firma Arado niewątpliwie prowadziła produkcję. Warto również zauważyć, że współczesna podziemna trasa turystyczna „Projekt Arado” znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie tej fabryki. Wydaje się zatem, że drażnione tu sztolnie rzeczywiście mogły powstawać jako schronienie dla zakładów zbrojeniowych.

Kolejną lokalizacją przydzieloną firmie Arado była fabryka Leinag, wcześniej znana pod nazwiskiem żydowskiego założyciela, Isidora Rinkeła. Już sama powierzchnia zabudowy, przekraczająca 20 tys. m², jednoznacznie wyklucza możliwość, że ulokowano tu jedynie biura projektowe. Dziś hale te nie istnieją, jednak w latach powojennych funkcjonowały w nich Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Len”. Co ciekawe, oddział ten powszechnie określano mianem „Arado”. Nazwa ta pochodziła stąd, że „właśnie tam miano w czasie wojny produkować samoloty Arado, przy czym po wojnie coś tam jeszcze z tej



Zdjęcie lotnicze zakładów Rinkela

produkcji pozostało, bodajże nieukończone kadłuby samolotów¹². Ja sam taką informację usłyszałem od Romana Jakóbczyka, powojennego mieszkańca Kamiennej Góry, który Janowi Lubienieckiemu, autorowi licznych publikacji o historii ziemi kamiennogórskiej, opowiadał też o Rosjanach demontujących wyposażenie fabryki: „Podobno tokarkę o długości czterech metrów w fabryce »Len« (w czasie wojny »Arado«) przecięli na pół i wciągnęli na platformę... czołgiem¹³.”

Z kolei Augustyn Szpak, robotnik przymusowy zatrudniony w czasie wojny u rolnika w Pisarzowicach, który codziennie dowoził mleko do Kamiennej Góry, wspominał, że w fabryce „Len” produkowano kadłuby samolotów¹⁴.

Trzecią lokalizacją przydzieloną firmie Arado była fabryka fartuchów Schuberta. Obecnie w jej zabudowaniach mieści się Zespół Szkół Zawodowych i Ogólnokształcących przy ul. Traugutta. Niegdyś funkcjonowała tu jednak wspomniana fabryka fartuchów¹⁵, a jeszcze wcześniej zakłady te należały do żydowskiego właściciela Hugo Salischa. Ja sam uczęszczałem do tej szkoły i pamiętam stojący przy niej komin fabryczny, który później został rozebrany przed budową nowej sali gimnastycznej.

Przydzielenie firmie Arado fabryk o łącznej powierzchni kilkudziesięciu tysięcy metrów kwadratowych wyraźnie pokazuje, że do Kamiennej Góry przeniesiono nie tylko biura konstrukcyjne, lecz także produkcję. W takiej sytuacji należałoby oczekiwać istnienia licznych źródeł wspominających o pracownikach, których liczba musiała sięgać tysięcy. Rodzi się więc pytanie: kto pracował tu przy produkcji samolotów?

Konstruktorami i kadrami zarządzającą byli Niemcy. Przy czym Niemców zatrudniano tu również jako zwykłych robotników. Hans Paul, mieszkający w czasie wojny w Kamiennej Górze, stwierdzał, że w 1944 roku jego mama „musiała podjąć pracę przy budowie samolotów w zakładach Arado¹⁶.”

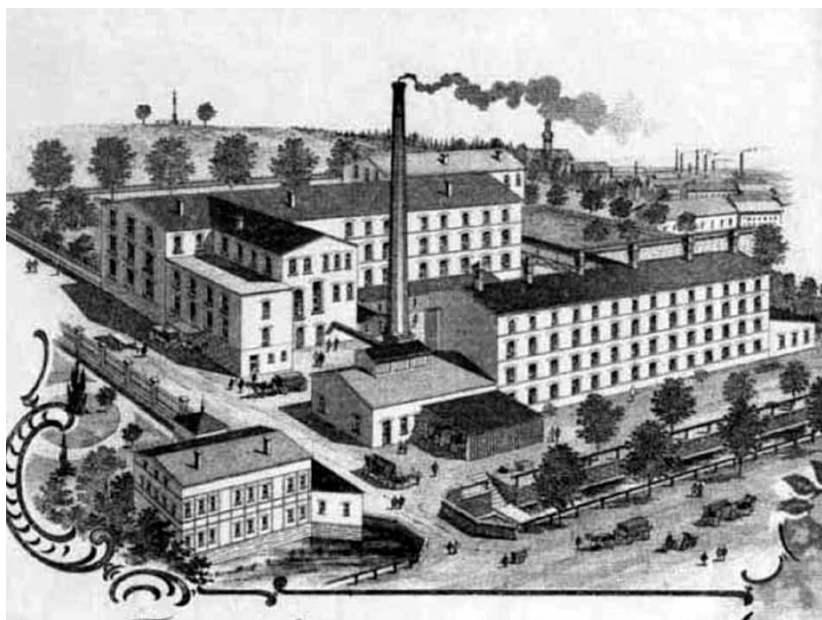
Jednak zdecydowaną większość ludzi pracujących dla Arado stanowili więźniowie obozów, jeńcy wojenni i robotnicy przymusowi przywożeni tu z różnych zakątków Europy.

W zakładach Arado pracowali Żydzi. Niemiecki historyk Georg Tessin podaje, że w Kamiennej Górze od maja 1943 roku do kwietnia 1944 roku funkcjonował przymusowy obóz pracy dla Żydów, którzy byli zatrudnieni w firmie Arado przy budowie samolotów, a także w miejscowej przędzalni i tkalni¹⁷. Warto przy tym podkreślić, że obóz ten istniał jeszcze przed utworzeniem obozu pracy AL Landeshut, filii Gross-Rosen.

Przy czym więźniów z tego ostatniego obozu również zmuszano do pracy w Arado. Choć zasadniczo uznaje się, że przetrzymywani w nim więźniowie pracowali w fabryce łożysk firmy Kugelfischer, to niekiedy można natrafić też na stwierdzenia, że zatrudniał ich „Zakład Łożysk Kulkowych »Arado«¹⁸, względnie „firma Arado-Werke GmbH przy produkcji łożysk kulkowych¹⁹ bądź też „dział produkcji łożysk kulkowych firmy »Arado« produkującej samoloty²⁰.” Określenia te sprawiają wrażenie omyłkowego połączenia nazwy producenta łożysk kulkowych Kugelfischer z nazwą producenta samolotów Arado. Można przypuszczać, że więźniowie nie byli informowani, dla kogo faktycznie pracują, w związku



Zachowane do dziś skrzydło dawnej fabryki Rinkela, po wojnie Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Len”. W miejscu hal fabrycznych dziś znajduje się centrum handlowe oraz Kaufland



Grafika przedstawiająca dawne zakłady przy ul. Traugutta

z czym nie potrafili też podać dokładnej nazwy swojego pracodawcy.

Jednak Jürgen Schwanitz twierdzi wprost, że więźniów z AL Landeshut zatrudniała firma „Brandenburger Flugzeugwerke Arado”, działająca w dawnych zakładach Grünfelda i Rinkela²¹. Również Leonhard Müller w opisie kamiennogórskiego obozu zauważa, że „jako miejsce zatrudnienia wymienia się firmę lotniczą Arado”²². Z kolei Dominik Alberski w książce poświęconej AL Landeshut wzmiankuje raport sporządzony po śledztwie Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu, w którym stwierdzono, że: „więźniowie pracowali także w zakładach lotniczych Arado, które również znajdowały się w Landeshut”²³. Dodatkowo Dominik Alberski przywołuje zeznania dwóch więźniów, którzy byli zatrudnieni w tych zakładach. Augustyn Rabięga „pracował przy nitowaniu skrzydeł samolotowych”, natomiast Tadeusz Pieńkowski „pracował przy produkcji części do samolotów”²⁴.

Także w wydanym przez Międzynarodowe Biuro Poszukiwań w Arolsen wykazie obozów zarządzanych przez SS znajduje się informacja, że więźniowie męskiego obozu w Landeshut, będącego filią Gross-Rosen, byli zatrudniani przez „Arado-Werke GmbH”²⁵.

W zakładach Arado pracowali również Francuzi. Informator „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939–1945” podaje, że w Kamiennej Górze istniał „Obóz pracy – Lager der Arado-Werke Landeshut. W 1944 roku w obozie przebywali Francuzi”²⁶. Dosłowne tłumaczenie tej niemieckiej nazwy to „obóz zakładów Arado w Kamiennej Górze”, co wyraźnie wskazuje, że

przetrzymani tam Francuzi byli zatrudnieni w fabryce Arado.

W zakładach Arado pracowali również Włosi. Jak wspomina Leonardo Calossi, włoski jeńiec wojenny, wraz z grupą ponad trzystu towarzyszy trafił on 31 października 1943 roku do Kamiennej Góry. Opisując ten dzień, zauważał: „Po przybyciu do Landeshut część z nas została przydzielona do fabryki materiałów lotniczych; druga część, w tym ja i 100 innych włoskich żołnierzy – do ogromnej fabryki, gdzie wcześniej była przedziałnia”²⁷. Sam Calossi pracował w zakładach Kugelfischer produkujących łożyska kulkowe. Z jego relacji dowiadujemy się jednak, że ponad dwustu pozostałych włoskich jeńców skierowano do kamiennogórskiej „fabryki materiałów lotniczych”. Choć jej nazwa nie została tu wymieniona, musiał to być zakład znacznych rozmiarów, skoro jednorazowo mógł wchłonąć setki jeńców.

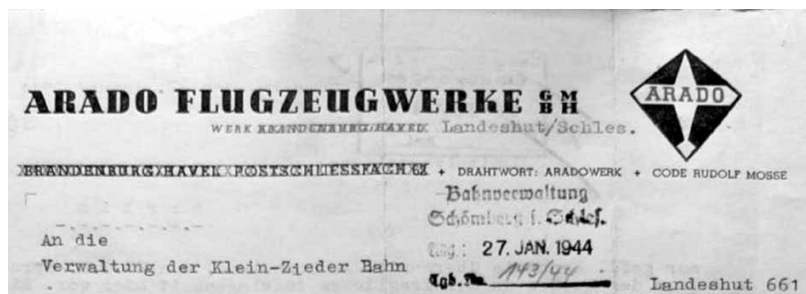
W mojej ocenie mowa tu właśnie o fabryce Arado.

W zakładach Arado pracowali również Holendrzy. Irmgard Kriegel, Niemka pochodząca z Kamiennej Góry, wspominała Holendra, który podczas wojny został najpierw skierowany do zakładów lotniczych Arado w Brandenburgii, a następnie trafił do Kamiennej Góry, gdzie pracował w budynku fabryki Max Kühn. „Jak opowiadał, jemu i jego przyjaciółom z ojczyzny, współpracownikom, w Brandenburgii i Kamiennej Górze żyło się dobrze. Nie musieli pracować dłużej niż niemieccy pracownicy, otrzymywali godziwe wynagrodzenie i mogli się swobodnie poruszać”²⁸. Nie wiadomo jednak, ilu pracowników z Holandii trafiło do Kamiennej Góry.

Jednak najbardziej szczegółowy opis pracy w Arado znajdujemy we wspomnieniach zatrudnionych tam przymusowo Polek. Romuald Owczarek



Dwa z zachowanych budynków dawnej fabryki fartuchów Schuberta. Dziś mieści się w nich Zespół Szkół Zawodowych i Ogólnokształcących przy ul. Traugutta



**Fragment papieru firmowego Arado Flugzeugwerke GmbH.
Dawną siedzibę „Brandenburg/Havel” wykreślono,
a z boku dopisano „Landeshut/Schles.”
Źródło: J. Braun, dz. cyt., s. 109**

przywołuje informacje o pochodzących z Warszawy Michalinie Nowoleckiej i Alinie Jeziorskiej²⁹. W październiku 1944 roku były one zatrudnione jako robotnice pomocnicze przy obróbce metali w firmie Max Kühl Nachfolger w Landeshut, pod którą to nazwą funkcjonowały tutejsze zakłady Arado. Z kolei mi udało się natrafić na wspomnienia Krystyny Bakuły, która wraz ze swoją matką Karoliną Jabłońską pracowała w czasie wojny w Arado³⁰. Relacja ta pozwala bliżej poznać warunki panujące w tej fabryce samolotów, dlatego warto streścić ją choć w kilku zdaniach.

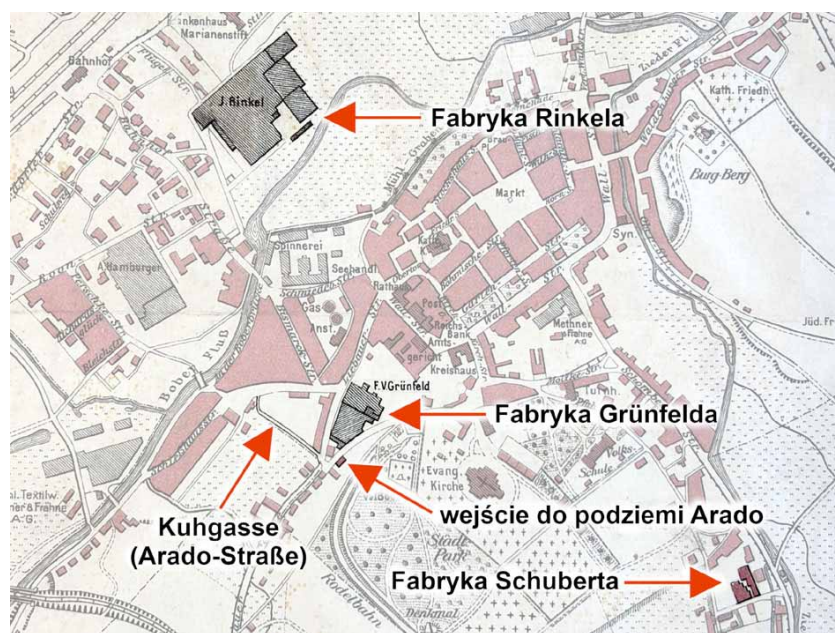
Krystyna Bakuła jako szesnastoletnia dziewczyna była łączniczką w czasie powstania warszawskiego. Po jego upadku razem z matką przetrzymywano ją w kilku obozach przejściowych aż trafiła do Wrocławia, gdzie odbywał się, jak to ujęła, „swego rodzaju handel niewolnikami”. W październiku 1944 roku „przyjechał przedstawiciel fabryki samolotów z miejscowości Landeshut i zabrał nas wszystkich, zatrudniając w tejże fabryce”. Wprawdzie nie pada tu nazwa zakładu, jednak jest niemal pewne, że była to firma Arado.

Jej praca w fabryce trwała od 7 do 18. Autorka relacji została przydzielona do maszyny, na której za pomocą noży skrawających gwintowała śruby. Wynika z tego, że zapewne obsługiwała tokarkę. Jej wspomnienia z Landeshut to szturchańce i epitety typu „polnische Schweine” i „polnische Banditen aus Warschau”, długa wędrówka w drewniakach po śniegu z obozu barakowego do fabryki, męcząca praca, brak snu, wrzaski, bicie, kopanie, polewanie za karę zimną wodą, a potem praca w przemoczonych odzieży i z mokrą głową do końca zmiany oraz powrót na mrozie do zimnych baraków...

Wiadomo również, że pracownicy firmy Arado byli tak liczni, że nie udało się ich wszystkich zakwaterować na terenie miasta. Część z nich mieszkała w miejscowościach położonych przy linii kolejowej

z Kamiennej Góry do Okrzeszyna, dzięki czemu ślad ich obecności zachował się w dokumentach firmy obsługującej szlak. Z pism tych wynika, że w styczniu 1944 roku firma Arado zlecała transport dla swoich pracowników: 250 osób z Krzeszowa, 70 z Czadrowa i kolejnych 70 z Jawiszowa. Do końca maja przewidywano już około 460 pracowników Arado. Mieli oni dojeżdżać koleją, poranna zmiana rozpoczynała się o godzinie 6:00, a nocna o godzinie 18:00. W październiku w dokumentach wspomniani są również „mieszkający w Chełmsku Śląskim pracownicy firmy Max Kühl Nachfolger GmbH z Kamiennej Góry”. Musiało ich być przynajmniej 150, gdyż taką liczbę podano w zapotrzebowaniu na pociąg specjalny³¹.

Z obecnością firmy Arado wiąże się jeszcze jedna relacja. W 1957 roku jeden z dawnych mieszkańców Kamiennej Góry wspominał na temat przedwojennej ulicy Kuhgasse: „w czasie wojny, gdy firma Arado postawiła tam baraki kuchenne, przemianowano ją na Arado-Straße”³². Dziś dawna Kuhgasse nie funkcjonuje już pod swoją historyczną nazwą. Jest to bezimienna droga rozpoczynająca się na końcu ulicy Parkowej, prowadząca w stronę parkingu przy targowisku, a następnie do ulicy Staszica. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że baraków kuchennych firmy Arado musiało znajdować się tu wiele, skoro ich ustawienie wpłynęło na nazwę ulicy, choćby nieoficjalną. Pośrednio świadczy to także o skali zatrudnienia w zakładach Arado. Liczba pracowników musiała być naprawdę duża, skoro fabryczne stołówki okazały się niewystarczające i trzeba było wznieść dodatkowe baraki kuchenne.



Grafika przedstawiająca rozmieszczenie obiektów Arado w Kamiennej Górze

Ostatnio natrafiłem też na datowany na 10 października 1944 roku dokument, który jednoznacznie stwierdza, że w owym czasie łączna liczba zatrudnionych w firmie Max Kühl Nachfolger w Landeshut wynosiła 2500 osób³³. Na marginesie dodam, że to właśnie ta znacząca liczba pracowników stała się dla mnie inspiracją do ponownego zbadania tematu zakładów lotniczych Arado.

Przytoczone źródła nie pozostawiają złudzeń: mit o tym, że obecność firmy Arado w Kamiennej Górze ograniczała się wyłącznie do pracy przy deskach kreślarskich, musi ostatecznie upaść. To niewielkie sudeckie miasto było w rzeczywistości ważnym trybem niemieckiej maszyny wojennej, a w tutejszych fabrykach produkowano nie tylko kluczowe dla przemysłu zbrojeniowego łożyska kulkowe, ale również części lotnicze. Pod koniec wojny, kiedy zbliżali się już Rosjanie, park maszynowy zdemonstrowano³⁴, a niemieckie załogi uciekły specjalnym pociągiem³⁵, pozostawiając po sobie niemal puste hale i sztolnie.

Rozmach produkcji realizowanej w kamiennogórskiej fabryce samolotów może dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że maszyny tej marki były na froncie rzadkością. Wyjaśnienie jest proste: prowadzono tu produkcję licencyjną. W czasie wojny priorytetem było wytworzenie maksymalnej liczby sprawdzonych maszyn, dlatego potencjał Arado wykorzystano do budowy samolotów innych marek. Ze źródeł wiadomo, że np. oddział Arado w Rathenow produkował ciężkie bombowce Heinkel He 177, myśliwce Focke-Wulf Fw 190, a nawet elementy rakiet V1 i V2³⁶. Zapewne podobnie wyglądało to w zakładach przeniesionych na Dolny Śląsk.

Historia kamiennogórskiej filii zakładów Arado Flugzeugwerke GmbH po części została zapomniana, a dziś żywe jest jedynie wspomnienie o biurze projektowym. Jednak analiza źródeł pokazuje, że w rzeczywistości produkcja tutejszego przemysłu lotniczego była olbrzymia. Warto o niej przypominać, tym bardziej, że wiąże się ona z dramatem tysięcy ludzi, których zmuszano tu do niewolniczej pracy na rzecz Trzeciej Rzeszy.

Marian Gabrowski

Przypisy:

- 1 J. Lubieniecki, *Powiat kamiennogórski*, [w:] „Dolny Śląsk 1945 – Dolny Śląsk 2005”, Wrocław 2006, s. 315.
- 2 L. Müller, *Arado in Landeshut*, [w:] „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 11/1995, s. 197-199.
- 3 J. Schwanitz, *Rohnau am Scharlachberg*, Regensburg 2003, s. 290. Autor stwierdza: *W Kamiennej Górze nie prowadzono prac produkcyjnych ani montażu prototypów samolotów, lecz wyłącznie realizowano przełomowe prace projektowo-konstrukcyjne wykonywane przez inżynierów i konstruktorów lotniczych.*

4 R. Primke, M. Szczerepa, W. Szczerepa, *Tajemnice Kamiennej Góry i okolic. Ziemia kamiennogórska w czasie drugiej wojny światowej*, Jelenia Góra 2012, s. 55. Czytam tu: *Należy podkreślić, że w Kamiennej Górze nie odbywały się żadne prace produkcyjne ani montaż samolotów. Tu realizowano wyłącznie przełomowe konstrukcje projektów wykonywanych przez zespoły inżynierów i konstruktorów lotniczych.*

5 S. Wrześniński, K. Urban, *Tajne kompleksy lotnicze Trzeciej rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej*, Warszawa 2015, s. 251-252.

6 R. Owczarek, *Zapomniane fabryki zbrojeniowe Hitlera*, Kraków 2015, s. 145-171. Autor wspomina: *zakładu produkcyjnego w Kamiennej Górze nie było.*

7 M. Gabrowski, *Śladami zapomnianego lotniska w Lipienicy*, Polkowice 2018, s. 132-138. Po przywołaniu wielu wzmianek o firmie Arado stwierdziłem: *prawdopodobnie samoloty te nie były w tym mieście produkowane.*

8 R. Primke, M. Szczerepa, W. Szczerepa, dz. cyt., s. 17.

9 Najpewniej mamy tu do czynienia z pomyłką, gdyż w rzeczywistości chodzi o zakłady F.V. Grünfelda.

10 R. Becker, *Niederschlesien 1945. Die Flucht – Die Besetzung*, Bad Nauheim 1965, s. 349.

11 E. Kunick, *Die letzten 25 Jahre der schlesischen Leinenstadt Landeshut*, [w:] „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 6/1952, s. 5.

12 M. Gabrowski, dz. cyt., s. 136-137.

13 J. Lubieniecki, *Tajemnicza Antonówka*, Jelenia Góra 2014, s. 64.

14 J. Lubieniecki, *Z dziejów Ziemi Kamiennogórskiej*, Jelenia Góra 1996, s. 138.

15 B. Riedel, *Alte und neue Schürzen*, [w:] „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 5/2008, s. 130-134.

16 H. Paul, *Erinnerung an Zuhause*, [w:] „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 5/2013, s. 151.

17 G. Tessin, *Verbände und Truppen der deutschen Wehrmacht und Waffen-SS im Zweiten Weltkrieg 1939-1945, Band 16, Teil 2, Wehrkreise VII-XIII*, Osnabrück 1996, s. 106.

18 J. Lubieniecki, *Filia Gross Rosen w Kamiennej Górze*, [w:] „Karkonosze”, nr 11/1988, s. 19.

19 J. Lubieniecki, *Powiat...*, dz. cyt., s. 312.

20 L. Calossi, *Byłem jeńcem wojennym w Landeshut – Kamienna Góra*, Wałbrzych 2005, s. 99.

21 J. Schwanitz, dz. cyt., s. 280.

22 L. Müller, *Konzentrationslager im Kreis Landeshut*, [w:] „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 6/2002, s. 85.

23 D. Alberski, *Arbeitslager Landeshut (Kamienna Góra) – filia KL Gross-Rosen 1944-1945*, Wałbrzych 2024, s. 61-62.

24 Tamże, s. 62.

25 *Verzeichnis der Haftstätten unter dem Reichsführer-SS (1933-1945)*, Arolsen 1977, s. 138.

26 *Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945*, Warszawa 1979, s. 216.

27 L. Calossi, dz. cyt., s. 24.

28 I. Kriegel, *Eine Autoreise allein nach Garmisch-Partenkirchen*, [w:] „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 5/2009, s. 147.

29 R. Owczarek, dz. cyt., s. 150-151.

30 <https://dulag121.pl/encyklopedia/bakula-krystyna-moje-wspomnienia-z-czasow-wojny-1939-1945>

31 J. Braun, *Die Ziedertalbahn Landeshut in Schlesien – Altbendorf*, Norderstedt 2020, s. 89-90.

32 *Unsere Landeshuter Heimat im Jahre 1957*, [w:] „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 10/1957, s. 6.

33 Bundesarchiv, sygn. R 3/2006, k. 679.

34 J. Lubieniecki, *Z dziejów...*, dz. cyt., s. 140.

35 E. Kunick, *Die letzten...*, dz. cyt., s. 5.

36 T. Kersting, *Forced Labour Camp and Satellite Concentration Camp near the Rathenow Arado Works*, [w:] „Exclusion. Archaeology of the Nazi Internment Camps”, Berlin 2020, s. 203.

Kamiennogórska Brzoza Generała Fouquégo

W poprzednich numerach pisma „Na Szlaku” kilkakrotnie opisywałem znane mi upamiętnienia bitwy zwanej Pruskimi Termopilami stoczonej 23 czerwca 1760 roku pod Kamienną Górą. Były to kamienne pomniki wzniesione po latach w miejscach najkrwawszych walk. Warto jednak dodać, że niegdyś o jednym z epizodów tego starcia przypominało pewne rosnące w pobliżu miasta drzewo.

W trakcie bitwy, gdy pozycje broniących się Prusaków stały się nie do utrzymania, dowodzący korpusem generał Heinrich August de la Motte Fouqué, po odrzuceniu propozycji honorowej kapitulacji, zdecydował się na próbę przebicia w kierunku Raszowa i zalesionych Gór Lisich. Udało mu się przeprawić przez Bóbr, jednak w pobliżu Daleszowa Górnego, wioski włączonej dziś do Kamiennej Góry, wycofujące się z pola bitwy oddziały zostały rozbite. Nieliczni ocaleni rzucili się do ucieczki. Generał Fouqué stracił konia i, mimo że jego osobisty służący Trauschke osłaniał go własnym ciałem, trzykrotnie został raniony szablą. Ostatecznie dostał się do austriackiej niewoli¹.

Najobszerniejszym ze znanych mi polskich opracowań poświęconych temu starciu jest książka „Pruskie Termopile. Bitwa pod Kamienną Górą w 1760 roku”. Jako „miejsce wzięcia do niewoli generała Fouquégo” podaje ona punkt², który wskazano na planie bitwy zamieszczonym w pracy Ernsta Kunicka, kamiennogórskiego historyka, współzałożyciela i pierwszego kierownika miejscowego Muzeum Regionalnego.

Autor ten w swojej publikacji z początku XX wieku zamieścił schematyczny plan bitwy, na którym miejsce ujęcia Fouquégo oznaczono niewielkim kwadratem³. Dodatkowo w zakończeniu swojego opisu starcia wymienił również znane mu upamiętnienia bitwy z 1760 roku, w tym „Brzozę Fouquégo pomiędzy dworcem w Kamiennej Górze a Raszowem”⁴.

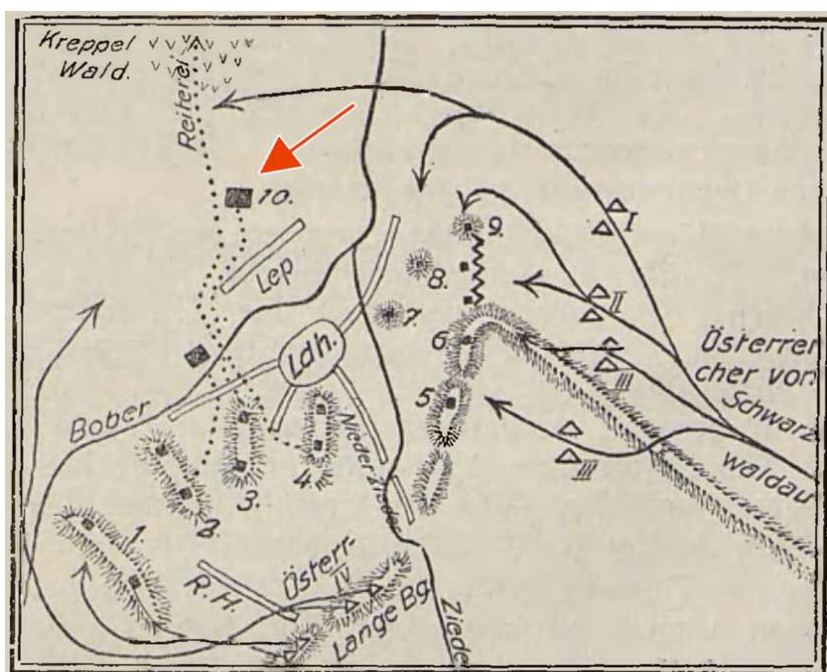
Zaintrygowało mnie to drzewo i zacząłem zadawać sobie pytania: skąd wzięła się jego nazwa, gdzie dokładnie rosło i jakie były jego dalsze losy? Tym bardziej, że na wzmiankę o tej brzozie nie natrafiłem w żadnym z polskich opracowań, zarówno tych dotyczących samej bitwy,

jak i historii Kamiennej Góry. Konieczne okazało się więc sięgnięcie do źródeł niemieckojęzycznych.

Ernst Kunick w książce z 1929 roku, opisując pomniki przyrody ziemi kamiennogórskiej, wspominał to drzewo w następujących słowach: „Brzoza Fouquégo, która zasługuje na zachowanie nie tyle ze względu na swoje rozmiary, ile z powodu swej historycznej nazwy”⁵.

Z kolei Theodor Schube w sporządzonym w 1930 roku wykazie pomników przyrody Rejencji Legnickiej odnotował, że kamiennogórska Brzoza Fouquégo rosła „przy cegielni Bleichera”⁶.

W 1936 roku w jednej z niemieckich gazet ukazał się krótki artykuł zatytułowany „Brzoza koło Kamiennej Góry”, w którym czytamy: „Miłośnicy przyrody, którzy wędrowali już kiedyś z Kamiennej Góry w Karkonoszach, z pewnością pamiętają dużą, stojącą samotnie brzozę, którą mogli tam zobaczyć. Znajduje się ona na łące w pobliżu kamiennogórskiego dworca kolejowego, w kierunku Raszowa i potocznie nazywana jest Brzozą Fouquégo. Kamiennogórska grupa lokalna Towarzystwa Karkonoskiego objęła tego



Skizze: Gefecht bei Landeshut 1760

Preussen ■■■ 1. Mühlbg., 2. Hahnbg., 3. Galgenbg., 4. Kirchbg.,
5. Göbelbg., 6. Stadtwald, 7. Burgbg., 8. Thiemeng.,
9. Leuschnerbg., 10. Fouqués Gefangennahme.
R.H. = Reichhennersdorf.
Österr. △△△

Plan bitwy z 1760 roku, numer 10 wskazuje miejsce pojmania generała Fouquégo



Witraż z kamiennogórskiego ratusza ze sceną pojmania generała Fouquégo. Współczesne zdjęcia: Marian Gabrowski

starego olbrzyma ochroną przyrody. Dnia 23 czerwca 1760 roku, podczas wojny siedmioletniej, w pobliżu tego starego drzewa pruski dowódca armii, generał Fouqué, został ciężko ranny i dostał się do niewoli austriackiej⁷⁷.

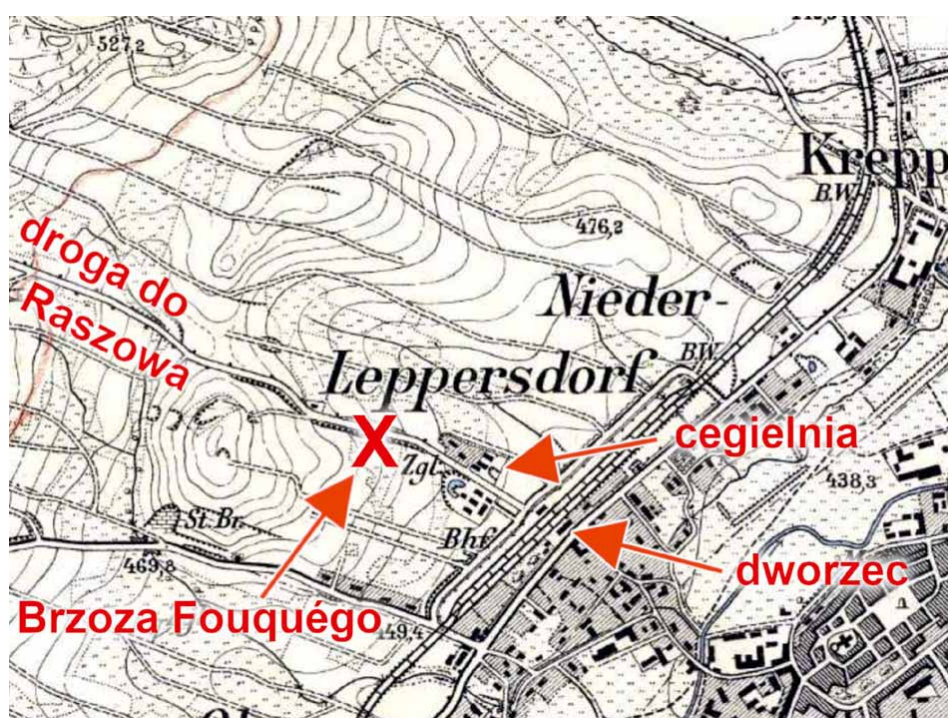
W 1941 roku lokalna gazeta kamiennogórska przyniosła wzmiankę zatytułowaną „Towarzystwo Karkonoskie zamierza posadzić nową Brzozę Fouquégo”. Czytamy w niej: „Posadzona przed dziesięcioleciem Brzoza Generała Fouquégo, upamiętniająca wzięcie do niewoli po bitwie pod Kamienną Górą dzielnego, fryderycjańskiego generała Fouquégo przez Austriaków na polach między Kamienną Górą a Raszowem, została – jak wiadomo – zniszczona przez uderzenie pioruna. Idąc za sugestią zgłoszoną w kręgach członków, oddział terenowy Towarzystwa Karkonoskiego posadzi nową brzozę i w ten sposób zachowa to historyczne

miejsce w żywej świadomości wszystkich miłośników ojczyzny⁷⁸.

Nie wiadomo jednak, czy zamiar ten został zrealizowany. Przywoływany już Ernst Kunick w tekście opublikowanym w 1954 roku, opisując widok Kamiennej Góry z Góry Kościelnej, wspominał: „Spoglądając na północny zachód, w poprzek miasta, ponad dworcem kolejowym, widzimy w płytkiej, łąkowej dolince pień Brzozy Fouquégo, która miała oznaczać miejsce, gdzie niegdyś Fouqué wraz ze swymi żołnierzami został wzięty do niewoli⁷⁹”. Podejrzewam jednak, że opisany tu widok, z pniem powalonego przed laty drzewa w tle, istniał już jedynie we wspomnieniach autora tych słów, który po wojnie został wysiedlony do Niemiec. Dlatego też nie można zawartych tu informacji traktować nazbyt dosłownie.

Na kolejną wzmiankę o tym drzewie natrafiłem w opisie kamiennogórskiego ratusza opublikowanym przez tego samego autora w 1958 roku. O znajdujących się tam witrażach pisał on wówczas: „Drugie okno przypomina starcie pod Kamienną Górą z dnia 23 czerwca 1760 roku. Pod swym powalonym rumaikiem leży ciężko ranny generał Fouqué. Jego wierny stajenny Trauschke własnym ciałem osłania go przed szablami wrogów i w ten sposób ratuje życie swemu generałowi. Przez długi czas w miejscu, gdzie to się wydarzyło, na północny zachód od dworca kolejowego, stała Brzoza Fouquégo, aż została złamana przez burzę¹⁰”.

Wspomnianą w tym opisie scenę do dziś możemy oglądać na jednym z trzech witraży, jakie są ozdobą okien sali posiedzeń samorządu w kamiennogórskim ratuszu.



Prawdopodobna lokalizacja Brzozy Fouquégo



Okazała brzoza rosnąca przed biurowcem PKS Kamienna Góra

Niestety, nie udało mi się natrafić na choćby jedną archiwalną mapę, która wskazywałaby dokładną lokalizację Brzozy Generała Fouquégo. Z przywołanych wcześniej tekstów wiadomo jednak, że drzewo to rosło przy cegielni na płytkiej i porośniętej łąką dolince nieopodal kamiennogórskiego dworca kolejowego przy drodze wiodącej do Raszowa. Wskazówki te pozwalają w przybliżeniu wytypować miejsce, gdzie można byłoby poszukiwać tego pamiątkowego drzewa.

Bo trzeba tu zauważyć, że Brzoza Generała Fouquégo być może rośnie do dziś. Wydaje się to nieco zaskakujące, gdyż drzewa te nie należą do długowiecznych i zazwyczaj żyją zaledwie kilkadziesiąt lat, a tylko najdorodniejsze okazy osiągają wiek ponad stu lat. Dodatkowo brzoza, pod którą pojmano generała, już w 1760 roku musiała być okazała, skoro zwrócono na nią uwagę. Trudno więc przypuszczać, by przetrwała kolejne 181 lat, jakie upłynęły do 1941 roku, kiedy to zniszczyło ją uderzenie pioruna. Zresztą ówczesna relacja prasowa wspomina, że powalona brzoza została „posadzona przed dziesięcioleciem”. Wynikałoby z tego, że było to już kolejne drzewo rosnące w tym miejscu. Wiadomo także, że w 1941 roku planowano posadzić tam następną brzozę. Jeśli rzeczywiście zrealizowano ten zamiar,

to niewykluczone, że ta nadal gdzieś rośnie. W takim przypadku współcześnie miałyby co najmniej 85 lat, ponieważ najpewniej nie wyrosła tu z nasiona, lecz została posadzona jako drzewko pochodzące ze szkółki leśnej.

W marcu tego roku wybrałem się na spacer połąną drogą prowadzącą od ul. Towarowej w stronę Raszowa. Początkowo biegła ona wzdłuż ogrodzenia bazy PKS w Kamiennej Górze, a po 500 metrach wchodziła w las porastający zbocze pobliskiej góry. Wprawdzie wzdłuż traktu natrafiłem na brzozy, ale wszystkie one były zbyt młode. Wracając, zauważyłem jednak, że drzewa tego gatunku rosną również na terenie bazy PKS. Moją uwagę przykuł okaz znajdujący się tuż za bramą wjazdową, obok biurowca, zaledwie dwadzieścia kilka metrów od drogi do Raszowa. Obwód jego pnia zmierzony na wysokości piersi wynosi aż 171 cm. Pozwala to oszacować, że drzewo może mieć niemal 100 lat. Uwagę zwraca również niespotykany układ korony. Zamiast typowej dla brzozy smukłej i strzelistej formy tutaj widzimy gęste konary wyrastające niemal z jednego poziomu, co sugeruje dawne celowe przycinanie drzewa.

Czy jest to Brzoza Generała Fouquégo, zapewne już trzecia z kolei rosnąca w tym miejscu? Wydaje się to bardzo prawdopodobne, jednak nie udało mi się natrafić na źródła, które pozwalałyby potwierdzić tę identyfikację ponad wszelką wątpliwość.

|
Marian Gabrowski

Przypisy:

- 1 R. Primke, M. Szczerepa, W. Szczerepa, *Pruskie Termopile. Bitwa pod Kamienną Górą w 1760 roku*, Jelenia Góra 2010, s. 79-83.
- 2 Tamże, s. 80.
- 3 E. Kunick, *Bilder aus dem Kreise Landeshut*, Landeshut, po 1910, s. 21.
- 4 Tamże, s. 23.
- 5 E. Kunick, *Naturdenkmäler und Naturschutz im Kreise Landeshut*, [w:] „*Heimatbuch des Kreises Landeshut in Schlesien*”, Landeshut 1929, s. 118.
- 6 T. Schube, *Die wichtigsten Natur-Denkmäler im Regierungsbezirk Liegnitz*, Breslau 1930, s. 24.
- 7 E. W., *Die Birke bei Landeshut*, [w:] „*Deutscher Garten*”, nr 1/1936, s. 6.
- 8 *Der RGV. will eine neue „Fouqué-Birke“ pflanzen*, [w:] „*Landeshuter Tageblatt*”, dodatek do nr 222, 22 września 1941.
- 9 E. Kunick, *Geschichtliche Erinnerungen*, [w:] „*Schlesischer Gebirgsbote*”, nr 4/1954, s. 9.
- 10 Tenże, *Erinnerungszeichen an kriegereische Ereignisse in Landeshut*, [w:] „*Schlesischer Gebirgsbote*”, nr 2/1958, s. 25.

Kynast. Legenda o szlachetnym rycerzu

Dawno, bardzo dawno temu, gdy zamek **Chojnik** nosił jeszcze nazwę Kynast, a mowa, która brzmiała na tej ziemi, była inna niż dziś – rozgrywała się ta opowieść.

Na Kynaście żyła panna dumna i wyniosła, piękna Kunegunda, jedyna dziedziczka zamku. Wielu rycerzy, młodych i sławnych, przybywało, by prosić o jej rękę.

Lecz Kunegunda każdemu stawiała twarde warunki: *Tego poślubię i temu oddam zamek oraz ziemię, kto objedzie Kynast konno po wąskim murze. Słowa raz danego nie cofnę.*

Zwabieni jej urodą i obietnicą władzy śmiałkowicie podejmowali próbę. Lecz dla wielu była to ostatnia droga. Koń i jeździec, zachwiani na kamiennym wężowozie, spadali w przepaść.

Niejeden szlachetny młodzieniec z rumieńcem odwagi na twarzy zamiast przyszłej wybranki znajdował pod murami Kynastu śmierć.

Aż pewnego dnia przez bramę wjechał rycerz niezwykłej urody. Gdy tylko spojrział na Kunegundę, jej serce – dotąd twarde jak skała – zapłonęło miłością do niego.

Chciała go odwieść od próby. Chciała złamać własny warunek. Lecz on rzekł spokojnie, z powagą w oczach: *– Najpierw muszę dotrzymać danego słowa.*

Wjechał na mur. Koń stąpał ostrożnie, krok za krokiem, kamień pod kopytami zdawał się drzeć. Lecz rycerz nie zawahał się ani na chwilę i przejazd zakończył bezpiecznie.

Kunegunda już widziała siebie w jego ramionach, już czuła smak zwycięstwa!

Wtedy on przemówił: *– Wiele młodej i szlachetnej krwi przelano na murach Kynastu przez twoją pychę. Mężowi przystoi walczyć w obronie ojczyzny, ramieniem twardym i mieczem sprawiedliwym, by*

chronić swoich. Tego ma prawo żądać od niego kobieta – narzeczona, żona. Lecz nie wolno jej pchać go ku śmierci dla igraszki.

Spojrzał na nią jeszcze raz i dodał: *– A poza tym... mam już ukochaną.*

Odwrócił konia i odjechał.

Do dziś stoją ruiny dumnego zamku, choć imię jego się zmieniło, a niejednen zmęczony wędrowiec szuka tam chłodu i ciszy.

O Kunegundzie zaś legenda powiada, że resztę życia spędziła w klasztorze, w pokucie i samotności – nie zaznawszy miłości.



A kim był rycerz, który dokonał tej śmiałej jazdy?

Tego opowieść już nie zdradza. Może pochodził z któregoś z wielkich rodów tych ziem – może ze szlachetnego domu **Schaffgotschów**?

Nie wiemy.

Legenda milczy, jak milczą kamienie Kynastu, a wiatr, który owiewa ruiny, nie zdradza imion.

*Przypomniał
Maciej Mischok*

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

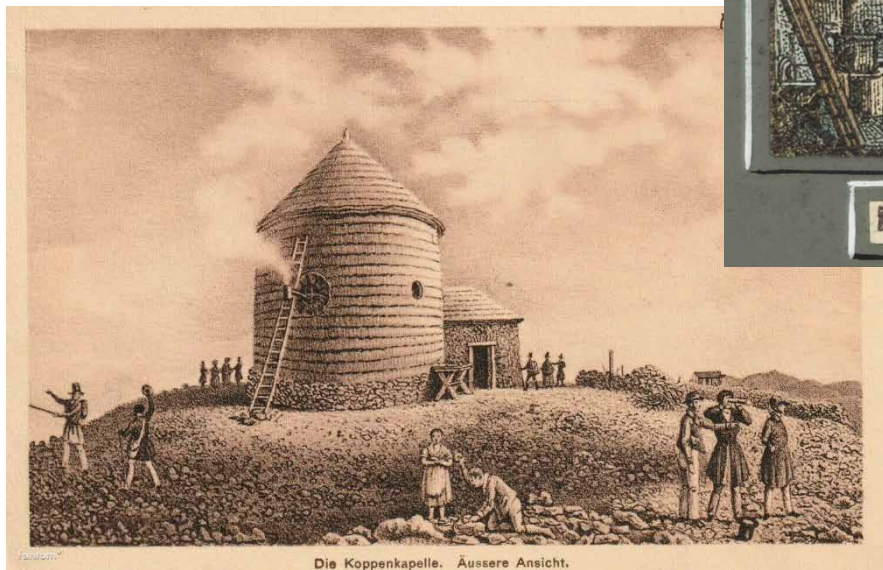
Kaplica na Śnieżce jako schronienie dla wędrowców

(z: „Der Bote aus dem Riesengebirge“ – 10. Aug. 1848)



Od roku 1824 kaplica służy jako schronienie dla podróżnych zdobywających szczyt Śnieżki.

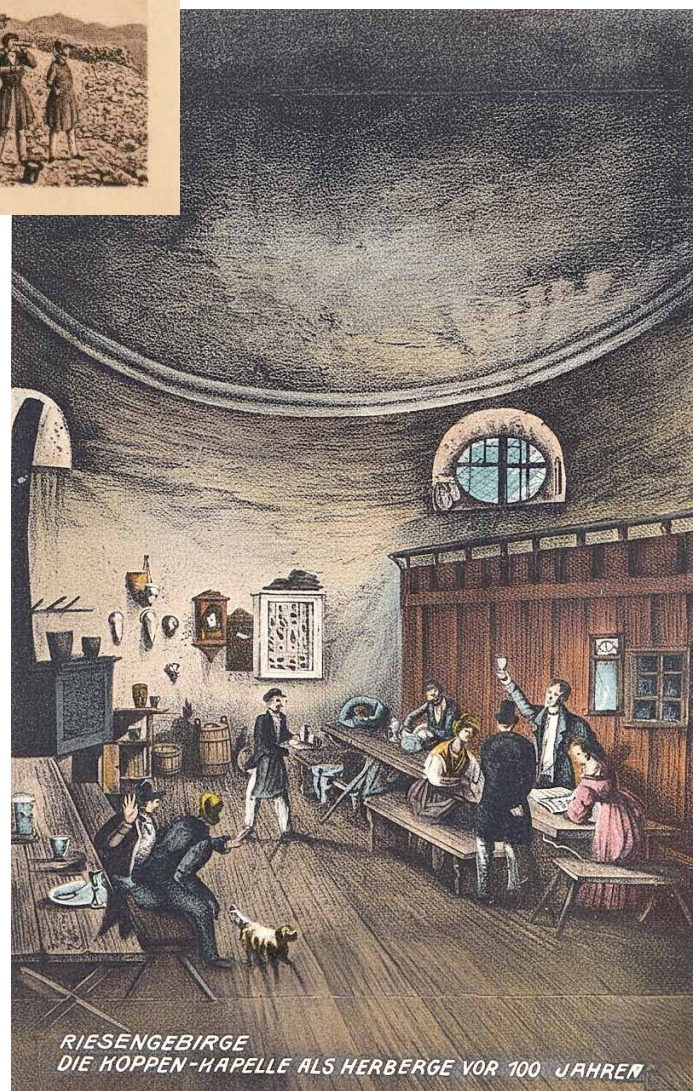
Ullrich Junker



10 sierpnia 1681 roku. Uroczysta inauguracja kaplicy na szczycie Śnieżki. Budowę obiektu rozpoczął hrabia **Christian Leopold von Schafgotsch** już w roku 1668, lecz dzieło to ukończono dopiero w roku 1681. To, co na nizinach zajęłoby za ledwie trzynaście tygodni, tutaj wymagało aż tyluż lat trudu, choć przy budowie każdego dnia mozoliło się pięćdziesięciu robotników.

Fundamenty osadzono głęboko na 14 łokci, mury zaś wzniesiono na grubość 4,5 stopy. Cała rotunda mierzy 26 stóp średnicy oraz 40 stóp wysokości. Kaplica została poświęcona **świętemu Wawrzyńcowi** i właśnie w dniu wspomnienia tegoż patrona, w 1681 roku, konsekrowana przez prałata z Krzeszowa.

W dniach św. Wawrzyńca, uroczystość Trójcy Świętej, Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, Nawiedzenia oraz Wniebowzięcia (zwanymi „dniami karkonoskimi”) ku kaplicy ciągnęły liczne pielgrzymki przybywające szczególnie tłumnie z Czech. Posługę duszpasterską sprawowali tam trzej duchowni (cystersi) z Cieplic, co trwało aż do roku 1810.



Witraże wrocławskich kościołów (7)

Witraże i mozaiki w kościele NMP Królowej Polski we Wrocławiu-Klecinie

Kościół pw. Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski na wrocławskim osiedlu Klecina został wzniesiony w latach 1905–1906 przez ewangelików według projektu wrocławskich architektów Alfreda Böttchera i Richarda Gaze. Budowlę zaprojektowano w stylu neogotyckim z elementami secesji. W 1946 r. kościół został przejęty przez katolików i w czerwcu tego samego roku uroczystie erygowano parafię rzymskokatolicką pw. Eucharystycznego Serca Pana Jezusa. Dnia 19 marca 1969 r. nastąpiła zmiana wezwania świątyni i odtąd jej patronką jest Najświętsza Maryja Panna Królowa Polski.

Jest to budowla murowana o konstrukcji halowej, trójprzęsłowej, z asymetrycznymi nawami bocznymi oraz emporą usytuowaną nad halą wejściową. Z boku fasady szczytowej wznosi się wieża, natomiast w narożach znajdują się aneksy. Nawa główna zamknięta jest prostokątnym prezbiterium. Elewację kościoła wykonano z czerwonej cegły klinkierowej z zastosowaniem otynkowanych blend (w murze są wnęki w formie arkady lub okna). We wnętrzu znajdują się również empory otaczające nawę główną.

Prof. Stanisław Jakubczyk – artysta malarz, rzeźbiarz, twórca witraży

Stanisław Jakubczyk urodził się 18 maja 1916 r. w Lubatowej. Był wybitnym polskim artystą o niezwykle wszechstronnym dorobku twórczym. Zajmował się malarstwem, rzeźbą, mozaiką, witrażem, polichromią, filmem oraz twórczością literacką. Studia artystyczne i pedagogiczne ukończył w Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie w latach 1937-39. Jego mistrzami w czasie studiów byli m.in. Władysław Jarocki, Kazimierz Sichulski i Ksawery Dunikowski. Przerwaną przez II wojnę światową naukę ukończył w ASP w latach 1945–1947, kształcąc się m.in. pod kierunkiem Eugeniusza Eibischa, Jerzego Fedkowicza i Karola Frycza. Był również absolwentem Studium Pedagogicznego w Krakowie (1947) oraz Studium Filmowego w Łodzi (1946). Choć z wykształcenia był malarzem, nieobce były mu rzeźba, film i fotografia. Był autorem licznych polichromii, witraży, mozaik, sgraffit i projektów wnętrz kościelnych, kompozycji abstrakcyjnych, obrazów o treściach symbolicznych, a także portretów i pejzaży będących bezpośrednimi studiami z natury. Najwięcej uwagi poświęcił sztuce sakralnej. Posługując się językiem sztuki współczesnej,

zawsze brał pod uwagę przeznaczenie i funkcję swoich realizacji, starając się łączyć aspekty teologiczne, liturgiczne i dydaktyczne. Artysta zrealizował swoje dzieła w kilkudziesięciu zabytkowych i nowych kościołach w Polsce i za granicą, m.in. w Anglii, Szwecji i Słowenii. Był autorem projektów ponad 150 okien witrażowych oraz wykonał ponad sto polichromii. Jego prace znajdują się w 96 kościołach, w tym na terenie diecezji wrocławskiej w miejscowościach: Oleszna (1961), Boguszów (1962), Jordanów (1963), Tuszyn (1964), Kiełczyn (1964), Prusy (1965), Dobrzenica (1965), Prusice (1968) oraz Wrocław-Klecina (1969). Ponadto dwie znaczące polichromie artysty można obejrzeć w kościele św. Jadwigi w Zielonej Górze oraz w nowoczesnym kościele w Kostrzynie.

Jak zauważa Ignacy Trybowski, swoistym rozwinięciem i dopełnieniem twórczości sakralnej Jakubczyka są jego obrazy sztalugowe – temperowe i olejne – będące niezależnym, osobistym spełnieniem artystycznych przekonań i ambicji twórcy. Ich głównym elementem jest treść zakorzeniona w symbolicznej refleksji religijnej i filozoficznej wyrażona poprzez sugestywny temat, zwykle zawarty w tytule dzieła. Artysta posługiwał się przy tym elementami surrealizmu oraz swobodnymi skojarzeniami form i przedstawień. Akwarele Jakubczyka natomiast odzwierciedlają jego wrażliwość na piękno przyrody. W projektowaniu witraży wykorzystywał doświadczenia zdobyte przy tworzeniu kompozycji abstrakcyjnych.

Stanisław Jakubczyk był członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków (od 1947) i Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Oprócz działalności plastycznej realizował filmy krótkometrażowe poświęcone tematyce artystycznej, działając w latach 60. i 70. XX wieku w krakowskim Klubie Filmowym „Nowa Huta”. Zajmował się również poezją i prozą – wydał czternaście książek literackich. Był miłośnikiem turystyki górskiej i kajakarstwa. W 2010 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Iwonicz-Zdrój. Zmarł 23 listopada 2018 r. w wieku 102 lat w Krakowie i został pochowany na Cmentarzu Podgórskim w tym mieście.

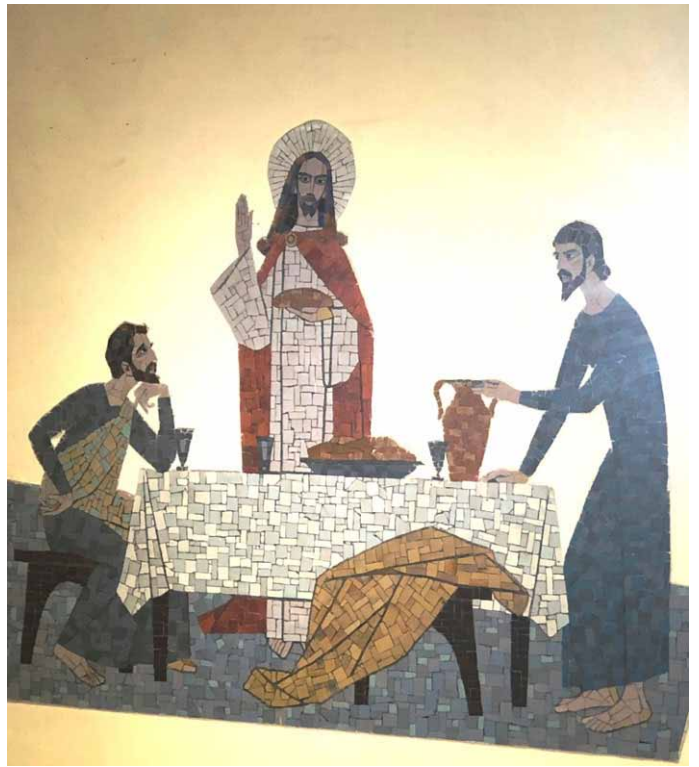
Witraże i mozaiki w kościele NMP Królowej Polski

W kościele pw. NMP Królowej Polski znajduje się zespół prac zaprojektowanych i wykonanych przez Stanisława Jakubczyka w 1969 r. W prezbiterium, w oknie wschodnim, nad tabernakulum i kamienną



1. MB Królowa Polski – witraż

rzeźbą ukrzyżowanego Chrystusa umieszczono witraż zatytułowany M.B. Królowa Polski (fot.1). Maryja została przedstawiona w pozycji siedzącej na tronie, z rozłożonymi rękami. Ponad jej głową, zwieńczoną koroną i aureolą, rozciąga się morze, natomiast u stóp widnieją szczyty gór i drzewa. Po prawej stronie ukazano uprzemysłowiony Górny Śląsk z napisem „KRÓLOWA POLSKI”, po lewej zaś kłosa i łany zbóż terenów rolniczych z napisem „MÓDL SIĘ ZA NAMI”. Maryja obejmuje swoją opieką całą Polskę – od Bałtyku po Tatry – łącząc symbolicznie Wschód z Zachodem. Kompozycja witraża ma charakter hieratyczny. Centralna, frontalnie ukazana

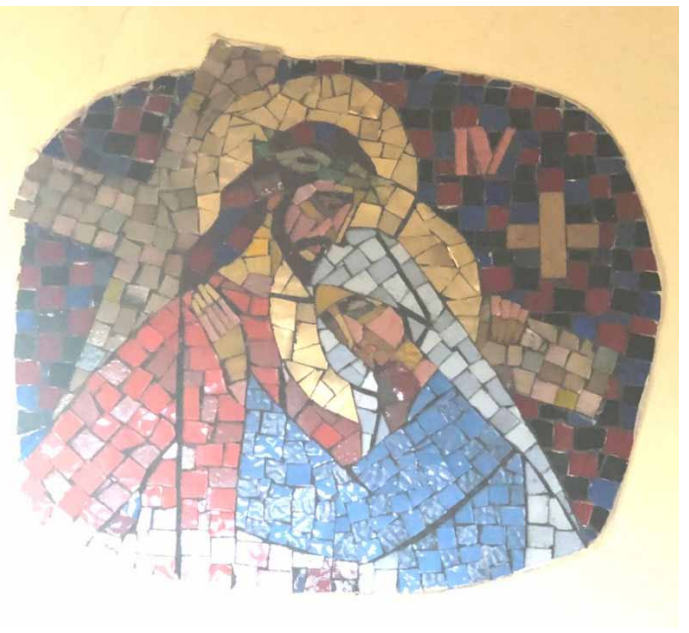


3. Uczniowie w Emaus – mozaika

postać Maryi dominuje nad przestrzenią, co podkreśla jej rangę jako patronki świątyni i opiekunki wspólnoty wiernych. Z każdego boku kwadratowej części centralnej wychodzą cztery półkola tworzące formę płatków kwiatu. Korona symbolizuje duchowe królowanie Maryi, rozumiane jako macierzyńska opieka i pośrednictwo między Bogiem a człowiekiem. Kolorystyka witraża opiera się na błękitach i bieli symbolizujących czystość i transcendencję oraz na akcentach czerwieni i złota odnoszących się do miłości, ofiary i chwały Bożej. Światło przenikające przez witraż wzmacnia niematerialny charakter przedstawienia i potęguje jego oddziaływanie duchowe.



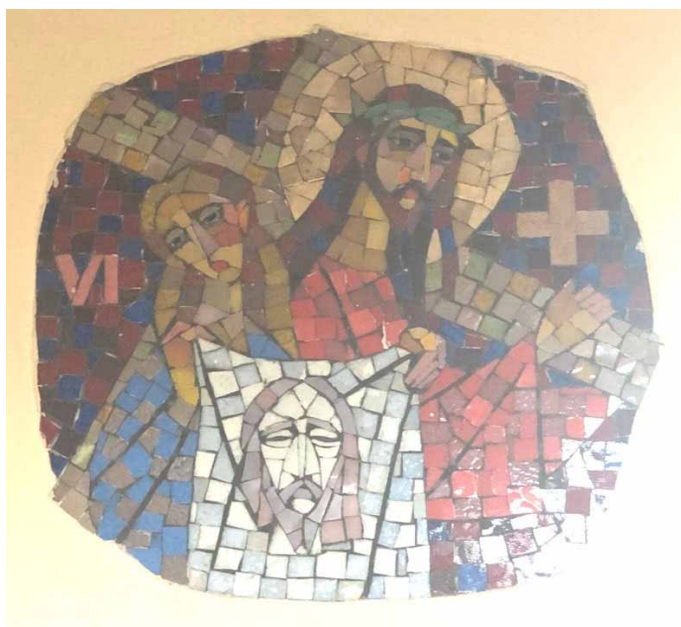
2. Rozmnożenie chleba – mozaika



4. Stacja IV Drogi Krzyżowej – mozaika



5. Stacja V Drogi Krzyżowej – mozaika



6. Stacja VI Drogi Krzyżowej – mozaika



7. Inne witraże

Prezbiterium zdobią również mozaiki o wyraźnym znaczeniu eucharystycznym. Obie kompozycje odnoszą się do idei obecności Chrystusa w Eucharystii oraz do motywu wspólnoty wiernych. Na lewej ścianie południowej znajduje się scena cudownego rozmnożenia chleba (fot. 2). Chrystus, stojący na górze, błogosławi pięć chlebów i dwie ryby przyniesione przez chłopca, natomiast poniżej uczniowie zbierają pokarm, aby rozdzielić go wśród zgromadzonego tłumu. Po stronie przeciwnej (fot. 3) umieszczono scenę uczniów w Emaus ilustrującą słowa Ewangelii według św. Łukasza (24, 30–31): „wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy otworzyły się im oczy i poznali Go”. Centralnym motywem ikonograficznym jest chleb, rozumiany jako symbol ciała Chrystusa i duchowego pokarmu. Uproszczone formy postaci oraz wyraźna rytmizacja kompozycji kierują uwagę odbiorcy ku teologicznemu znaczeniu scen, a nie ku ich narracyjnemu detelowi. Kolorystyka, oparta na ciepłych tonach złota, czerwieni i żółci, podkreśla motyw światła i obecności Boga, natomiast zieleń i błękity wprowadzają symbolikę nadziei i życia.

W kościele zachował się także cykl czternastu stacji drogi krzyżowej wykonanych w technice mozaiki szklanej (fot. 4, 5, 6). Rozmieszczony w przestrzeni świątyni tworzy spójną sekwencję medytacyjną prowadzącą wiernych przez kolejne etapy męki Chrystusa. Postacie ukazane są w sposób uproszczony i ekspresyjny, co wzmacnia emocjonalny przekaz.

Mozaiki wykonano w technice *opus tessellatum* (łac.) polegającej na układaniu drobnych, starannie obrobionych kostek kamienia lub szkła o wymiarach od 0,7 do 1,5 cm. Nieregularność *tesser* wzmacnia ekspresję przedstawień i symbolicznie odnosi się do cierpienia, rozdarcia oraz dramatu ludzkiego losu, który zostaje odkupiony przez krzyż. Dominujące brązy, fiolety, czerwienie i czernie akcentują dramatyzm scen pasyjnych, natomiast jaśniejsze partie barwne zapowiadają zmartwychwstanie i zwycięstwo życia nad śmiercią. Forma przedstawień sprzyja kontemplacji i osobistej refleksji odbiorcy.

Witraże umieszczone pod i nad emporami (fot. 7) mają charakter bardziej abstrakcyjny i ornamentalny. Ich kompozycje oparte są na rytmicznych układach linii i plam barwnych zgodnych z modernistycznym językiem

Witraże umieszczone pod i nad emporami (fot. 7) mają charakter bardziej abstrakcyjny i ornamentalny. Ich kompozycje oparte są na rytmicznych układach linii i plam barwnych zgodnych z modernistycznym językiem



8. Ołtarz, witraż i mozaika

plastycznym artyście. Pełnią one funkcję dopełniającą wobec głównych realizacji prezbiterium, symbolizując przenikanie sacrum w całą przestrzeń świątyni. Zmienność światła w ciągu dnia sprawia, że wnętrze kościoła pozostaje dynamiczne (fot. 8), a relacje pomiędzy architekturą, sztuką i światłem podlegają nieustannej reinterpretacji.

Zespół witraży i mozaik autorstwa prof. Stanisława Jakubczyka w kościele na Klecinie stanowi istotny element powojennego dziedzictwa sakralnego Wrocławia. Realizacja ta jest przykładem udanej syntezy architektury i sztuki oraz świadectwem wysokiego poziomu artystycznego nowoczesnej sztuki sakralnej w Polsce drugiej połowy XX wieku.

Autorzy dziękują ks. Jackowi Tomaszewskiemu za okazaną pomoc.

*Danuta Lesiów, Martyna Michniewicz
i Tomasz Lesiów*

Zdjęcia: Stanisław Ułańczyk i Tomasz Lesiów

CYTAT MIESIĄCA

Połonina po „angielsku”

Najpierw cytat encyklopedyczny: *Połonina – lokalna nazwa zbiorowisk muraw alpejskich i subalpejskich wykształconych ponad górną granicą lasu w Karpatach Wschodnich, w Polsce najczęściej wiązana z Bieszczadami. Teraz cytat drugi, tym razem ze słownika polsko – angielskiego.... Niestety Cambridge Dictionary nie był w stanie przetłumaczyć wprost słowa „połonina”, a słownik on line pokazał, że **połonina** to po angielsku **połonina** (ha, ha, AI prawdę ci powie). Inny słownik powiedział prawdę, że połonina to „łąka alpejska”, czyli „*alpine meadow*” lub „*mountain pasture*” albo „*carpathian mountain pasture*”. I tu dochodzimy do meritum „cytatu”. Oto na tablicy informacyjnej BPN stojącej przy szlaku na Tarnicę są opisane po polsku i po angielsku oznaczenia graficzne. Można przeczytać m.in., że połoniny to po prostu „*poloninas*”. Pytanie, w jakim to jest języku? Jaką informację niesie to słowo? Nie zmyśliłem tego, to naprawdę tzw. fakt autentyczny. Powie ktoś, że nazw własnych się nie tłumaczy, ale skoro już podano tłumaczenie słowa „połonina”, to niech to tłumaczenie niesie jakąś konkretną treść.*

	Pozostałe parkingi / Other parking places
	Hotele, schroniska / Hotels, shelter homes
	Schron turystyczny / Tourist shelter
	Terenowe Stacje Edukacji Ekologicznej BdPN BNP Environmental Education Field Stations
	Pola namiotowe / Camp sites
	Stacje turystyki konnej / Horseback tourism stations
	Wiaty ogniskowe / Designated places for campfires
	Deszczochrony / Rain shelters
	Wiaty odpoczynkowe / Designated places for rest
	Wiaty edukacyjne / Educational shelter
	Tereny leśne / Forested areas
	Tereny nieleśne / Unforested areas
	Połoniny / Poloninas
	Tereny leśne poza BdPN / Forested areas outside of BNP

Fragment tablicy BPN przy szlaku na Tarnicę z Wołosatego

Juliusz Wysłouch

Początki patrymonium w Pieninach

Jest takie miejsce w Pieninach, które od wieków przyciąga ludzi. To prawdziwe uroczysko. Charakteryzuje się odosobnionym położeniem, niegdyś nieprzystępnym. Od zbudowanego prawdopodobnie w XIII wieku zamku obronnego zwane Górą Zamkową, ale jak wcześniej nazywano to miejsce? – tego, niestety, nie wiemy.

Na ruinach zburzonego przez husytów zamku na początku naszego stulecia stanęła pustelnia, a tuż poniżej, w tym samym roku, wykuto w skale grotę, umieszczając w niej naturalnej wielkości figurę św. Kingi. Te trzy fakty zdecydowały o tym, że to miejsce stało się bardzo popularne i uczęszczane. Inna z wersji podaje, że na początku XV wieku zamek zburzyły wojska Ścibora ze Ściborzyc wysłane przez króla węgierskiego Zygmunta Luksemburczyka wspierającego Krzyżaków w wojnie z Polską w 1410 roku.

W przyrodzie i pięknie Pienin było coś odmiennego, co odróżniało od innych gór, a od Tatr szczególnie. Jan Wiktor pisał: „Ono nie przeraża, nie przywała ogromem, nie budzi grozy swoją wielkością, ale darzy wrażeniami niewysłowionego upojenia, błogiego uciszenia”. Ludzie ciągnęli do takich miejsc, uciekali od zgiełku miast, szukając ukojenia. Może podświadomie rację miał Wiktor, mając na myśli Pieniny: „Człowiek błądzi w upojeniu, a na duszy osiadają wrażenia. Jak wonny pył na kielichach narcyzów”.

Ruiny zamku pienińskiego od dawna budziły zainteresowanie badaczy, był przecież najwyższym

zamkiem w Polsce. Od południa dostępu broniła pięćdziesięciometrowej wysokości ściana, od północy strome skały opadające ku Pienińskiemu Potokowi. Zbudowany został na stosunkowo wąskiej półce skalnej. Szczęsny Morawski – polski historyk, pisarz, malarz i etnograf - w 1863 roku zrekonstruował zamek.

Od zachodniej strony lokalizował potężną czworoboczną „stróżę wchodową”, tędy, jak przypuszczał, wchodziło się do zamku przez „okno zamykane pomostem zwodzonym, z którego spuszczano drabinę lub kołowrotem wyciągano osoby znamienitsze”. Za wieżą znajdował się niewielkich rozmiarów dziedziniec z pojemnikiem na wodę. Niewiele wolnego miejsca powodowało wtopienie się zabudowań zamku w ukształtowanie terenu. Wolno stała kaplica zamkowa, a drugie wejście wschodnie od Pienińskiego Potoku oparte było o samorodne skały i było równie niedostępne co zachodnie.

Archeolog Andrzej Żaki uznał zamek pieniński za „jedyne w Małopolsce murowane obiekty o charakterze nierezydencjonalnym, reprezentujący formę nie mającą w Polsce analogii”. Od prawie samego początku łączył zamek z księżną Kunegundą, zdrobniale zwaną Kingą. Fakt ten potwierdzają wyniki badań archeologicznych próbujące uściślić chronologię powstania tegoż refugium. Możemy przyjąć za dolną granicę 1257 rok, kiedy to Kinga otrzymała od swojego męża księcia Bolesława Wstydlivego Ziemię Sądecką. Datę końcową wyznacza natomiast trzeci najazd Tatarów w 1287 roku.

Kunegunda, co warto przypomnieć, miała znakomite pochodzenie, była węgierską królową z dynastii Arpadów, to księżna krakowska i sandomierska, a następnie zakonnica w Zakonie Świętej Klary, dziewica, córka króla Węgier Beli IV i Marii Laskariny, żona polskiego władcy Bolesława V Wstydlivego oraz święta Kościoła katolickiego. Przeżyła kilka najazdów tatarskich, podczas ostatniego z nich ratowała się ucieczką w Pieniny wraz z siostrami zakonnymi. W poczet błogosławionych zaliczona została 11 czerwca 1690 roku przez papieża Aleksandra VIII, a 16 czerwca 1999 kanonizował ją papież Jan Paweł II podczas swojej pielgrzymki do Polski w uroczystej mszy świętej w Starym Sączu.

W przekazie ludowym przetrwała Kinga „jako dziewczeczka w sukni białej przepasanej



Pielgrzymi podczas mszy w grocie



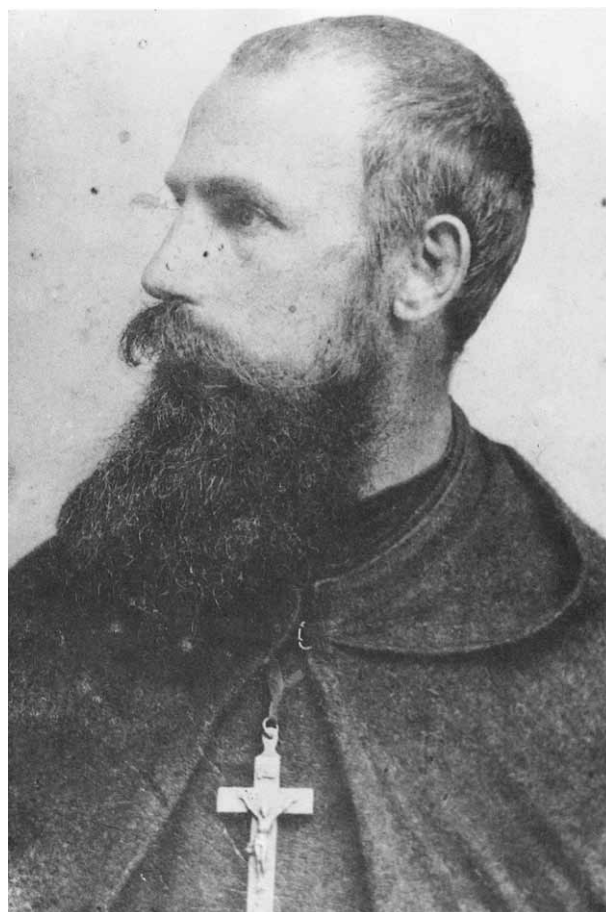
Pustelnia (1905)

szarfą błękitną, w płaszczu czerwonym i małej koronie na głowie”.

Wśród wielu legend pozostał nam między innymi opis jej ucieczki w Pieniny, pozostały podania o kropelkach krwi sączących się z poranionej stopy i zamieniającej się w goździki, odtąd rosnące w Pieninach; o kłatwie rzuconej na mieszczan krościeńskich za odmowę udzielenia jej pomocy w ucieczce przed Tatarami; o Krasowym polu z dorodnym łanem pszenicznym mylącym pogoń tatarską; o krościeńskim źródle gorzkiej wody, które wytrysło od kilku jej łez...

Tuż obok ruin zamku powstało sanktuarium św. Kingi, w grocie skalnej usytuowano rzeźbę naturalnej wielkości, na ruinach zbudowany został prymitywny drewniany domek, w którym osiadł pierwszy pustelnik.

W 1895 roku nakładem Komitetu Budowy Kaplicy św. Kunegundy w Pieninach ukazała się niewielkich rozmiarów broszurka zatytułowana „Zameczek św. Kingi” autorstwa Feliksa Wiśniewskiego, dzierżawcy zakładu kąpielowego w Szczawnicy. Nakład powtórzony został w latach 1896 i 1906. Dwa pierwsze wydania miały na celu zebranie odpowiednich funduszy na budowę sanktuarium. Inicjatorem powołania tegoż komitetu był emerytowany c.k. kapitan Feliks Pławicki, członek honorowy i założyciel Towarzystwa Tatrzańskiego. Przewodniczącym komitetu był Feliks Wiśniewski. W roku 1904 grotka była gotowa, 24 lipca odbyło się uroczyste jej poświęcenie. Autorem rzeźby św. Kingi był Władysław Druciak, a wykonano ją



Andrzej Stachura – pierwszy pustelnik

w Artystycznej Pracowni Rzeźby Wojciecha Samka i Antoniego Hajdeckiego w Bochni.

Do drewnianego domku – pustelni wprowadził się w 1904 roku pierwszy pustelnik, był nim Andrzej Stachura z Bobrka k. Oświęcimia, przybrał imię zakonne – Władysław.

To cudowne miejsce w Pieninach, jak widzimy, ma swoją długą historię, praktycznie wciąż trwającą, bo życie ciągle dopisuje kolejne zdarzenia. Jeden z proboszczów krościeńskich - śp. ks. Jan Bączyński, nazwał to miejsce patrymonium, czyli miejscem dziedzicznym. A wszystko zaczęło się od zamku, cytując za przekazem ludowym: „za modlitwą świętej królowej: Kingi, aniołowie z niebios na skrzydłach latając nazywali kamieni na budowlę zamku tegoż, bo ludzie nie byliby podolali tej ciężkiej pracy”.

Dzisiaj po zameczku niewiele zostało, drewniany domek pustelni spłonął w 1949 roku, lecz w grocie wciąż czuwa figura św. Kingi. W zwrotce wiersza Alhy z 1910 roku czytamy:

*Minęły wieki,
echo ożywia zburzony gród,
zameczkiem Kingi zowie go lud –
wysłuchany w hymn Pienin daleki!*

Góra Zamkowa, jak dawniej, pozostaje najbardziej popularnym miejscem w Pieninach, nie sposób ją ominąć. Od momentu umieszczenia figury św. Kingi w tym miejscu z inicjatywy śp. ks. Jana Bączyńskiego 24 lipca odbywają się coroczne procesje do figury. I tak już pozostanie.

Ryszard M. Remiszewski

Bydgoska fara

Określenie kościoła farny (fara) obecnie najczęściej przysługuje najstarszemu kościołowi w mieście lub głównemu kościołowi dekanatu, chociaż dawniej określano tak kościoły parafialne. Fary budowano najczęściej w bezpośrednim sąsiedztwie rynku i tak też jest w przypadku bydgoskiej świątyni, która najstarszą w mieście nie była. Miano to do roku 1879, w którym został zburzony, nosił kościół pw. św. Idziego pochodzący jeszcze z przedlokacyjnego okresu historii miasta (1030 – 1346) i mieścił się na Kujawskim Przedmieściu (obecnie ul. Bernardyńska). Co ciekawe, był to kościół filialny kościoła parafialnego pw. św. Marii Magdaleny w Wysogrodzie (obecnie część dzielnicy Fordon). Niestety, po lokalizacji miasta znalazł się on poza jego murami i po wybudowaniu fary stracił na znaczeniu, chociaż w swej historii jeszcze kilkukrotnie pełnił rolę głównego kościoła miejskiego, a do końca nosił miano matki kościołów bydgoskich.

Idea wybudowania kościoła miejskiego zrodziła się tuż po lokalizacji Bydgoszczy, czyli po dniu 19 kwietnia 1346 roku, kiedy to Kazimierz III Wielki ustanowił gminę miejską na prawie magdeburskim, z którym wiązał się „automat erekcyjny”, wedle którego lokacja miasta była tożsama z ustanowieniem parafii. Pod budynek kościelny i przyległy do niego cmentarz przeznaczono plac w północno-zachodnim narożu miasta sięgający brzegów Brdy i jej odnogi



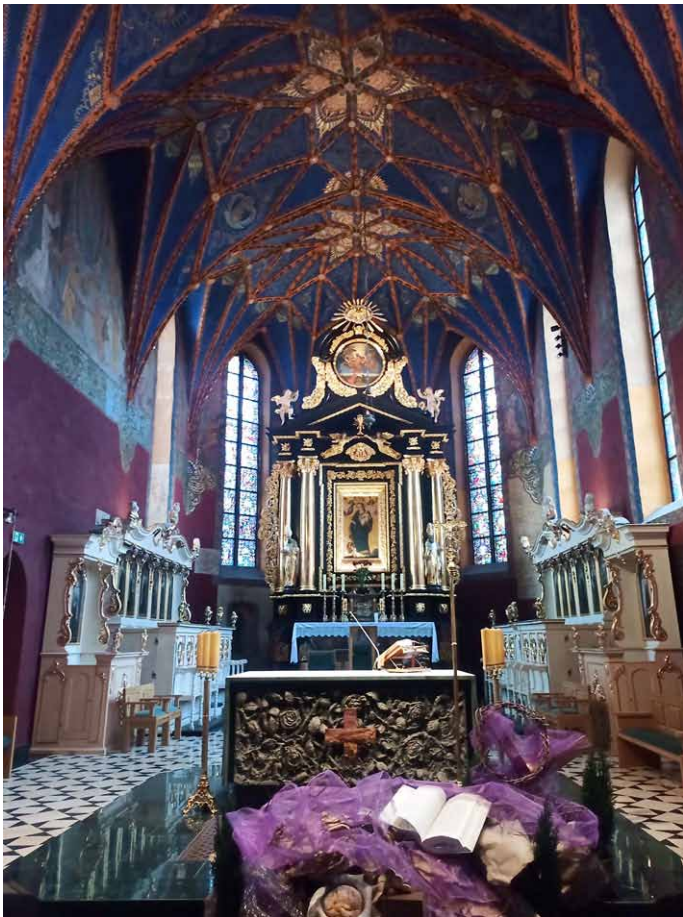
Widok fary od strony Brdy



Dzwonnica z wejściem do kościoła

– Młynówki (obecnie to obrzeża Starego Rynku). Przypuszcza się, że pierwsza świątynia była drewniana, jednakże już w drugiej połowie XIV wieku była budowlą murowaną i najprawdopodobniej jednonawową. Budowla ta spłonęła w 1425 roku, jednakże jeszcze przed pożarem odbył się w niej synod duchowieństwa diecezji włocławskiej. Wysokość pierwotnej świątyni dochodziła do fryzu na obecnych ścianach kościoła, co można stwierdzić naocznie na zachowanej ścianie północnej. W związku z tym, że fara była w ruinie, wiosną 1425 roku w obecności króla Władysława Jagiełły w kościele św. Idziego rajcowie bydgoscy złożyli przysięgę wierności władcy oraz jego synowi Władysławowi. W okresie 1425–1474, gdy odbudowywano kościół farny, funkcję miejskiego kościoła parafialnego ponownie pełnił kościół św. Idziego.

Rozpoczęta w 1425 roku odbudowa wiązała się z powiększeniem powierzchni kościoła oraz budową dwóch naw bocznych. Po poprzedniej świątyni zachowano północną murowaną ścianę i w związku z tym prezbiterium jest szersze od nawy głównej o prawie 2 metry, a także występuje jego odchylenie od osi względem korpusu nawowego, co zostało spowodowane chęcią utrzymania jednakowej szerokości naw bocznych. Budowa nowego kościoła trwała równoległe z rozbiórką starego i już w 1449 roku w stosunkowo dużym (17 x 9m) prezbiterium odbywały się nabożeństwa. Co ciekawe, pozytywny



Widok na prezbiterium z ołtarzem Najświętszej Marii Panny

wpływ na budowę miała wojna trzynastoletnia z zakonem krzyżackim – częste wizyty w Bydgoszczy króla Kazimierza Jagiellończyka, dworzan, wysokich rangą duchownych czy też elektora brandenburskiego Fryderyka II Hohenzollerna zapewniały datki na jej budowę. Jako datę zakończenia budowy przyjmuje się rok 1502, jednakże budowla była gotowa już w 1466 roku i od tego czasu przebiegały prace związane z jej wyposażeniem. Na patronów fary wybrano św. Mikołaja z rzymskiej Miry i św. Marcina z francuskiego Tours, którzy mając pod swą pieczę handel i liczne rzemiosła, odpowiadali najlepiej gospodarczym aspiracjom miasta. Świętyni patronowali również św. Stanisław oraz św. Wojciech, jednakże ostatecznie podczas kolejnej konsekracji kościoła w 1831 r. wezwanie kościoła odniesiono tylko do tej pierwszej pary świętych. Od 1466r. przy farze działała również szkoła parafialna kształcąca w zakresie siedmiu sztuk wyzwolonych (łacińska gramatyka, retoryka, dialektyka, arytmetyka, geometria, muzyka i astronomia).

W ciągu swojej historii obiekt przeszedł wiele modyfikacji budowlanych, np.: wymurowano dolne kondygnacje wieży-dzwonnicy (XV/XVI), którą w 1650 r. uzupełniono o trzecią kondygnację, postawiono piętrową kruchtę z otwartym przedsionkiem,

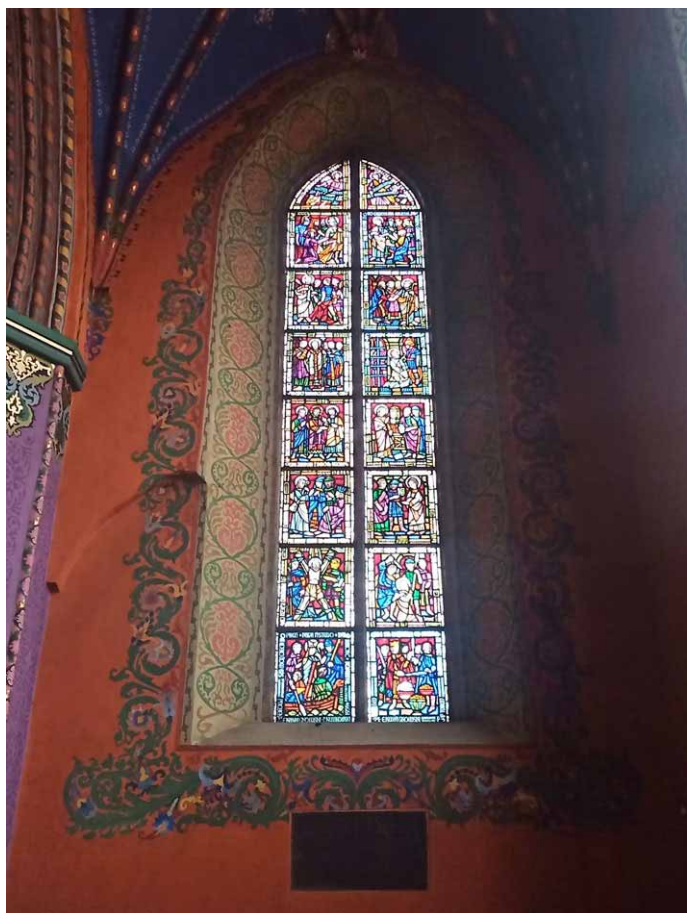


Ołtarz św. Antoniego Padewskiego (pocz. XVIII w.) pochodzący z kościoła bernardynów bydgoskich (nawa południowa)

podwyższono dachy kościoła, prezbiterium zamknięto sklepieniem gwiazdisto-sieciowym, rozbudowano gotycką zakrystię (1585), kalenicę dachu przyozdobiono wieżyczką z niewielkim dzwonem-sygnaturką (1559), zastąpioną potem zachowaną do dziś barokową wieżyczką (1702). Od XV do XVII w. mieszkańcy miasta ufundowali cztery kaplice boczne, wyposażając je w ołtarze (kaplica św. Anny – 1466 r., kaplica świętego Szczepana – 1597 r., kaplica świętego Jana Apostoła i Ewangelisty – 1612, kaplica kopułowa świętych Fabiana i Sebastiana – 1617 r.). Do czasów obecnych przetrwała tylko ta ostatnia, obecnie pod wezwaniem Świętego Krzyża.

Pierwsze co zaskakuje odwiedzającego tę świątynię to niezwykle bogactwo koloru we wnętrzach – nie tak częste w regionach północnej Polski. Polichromie pochodzą z lat 1922-25 i są autorstwa Henryka Nostitz-Jackowskiego¹ do projektu Stefana

¹ Henryk Nostitz-Jackowski (ur. 2 stycznia 1885 r. w Jabłowie, zm. 14 marca 1948 r. w Poznaniu) – polski malarz i witrażysta, założyciel i główny projektant pracowni artystycznej *Polichromia*. Autor ok. 200 witraży, w tym m.in. witraż ze scenami z powstania wielkopolskiego (1924) oraz spotkania królowej Jadwigi z delegacją krzyżacką (1927) z kościoła św. Mikołaja w Inowrocławiu, witraży na klatce schodowej w dawnej



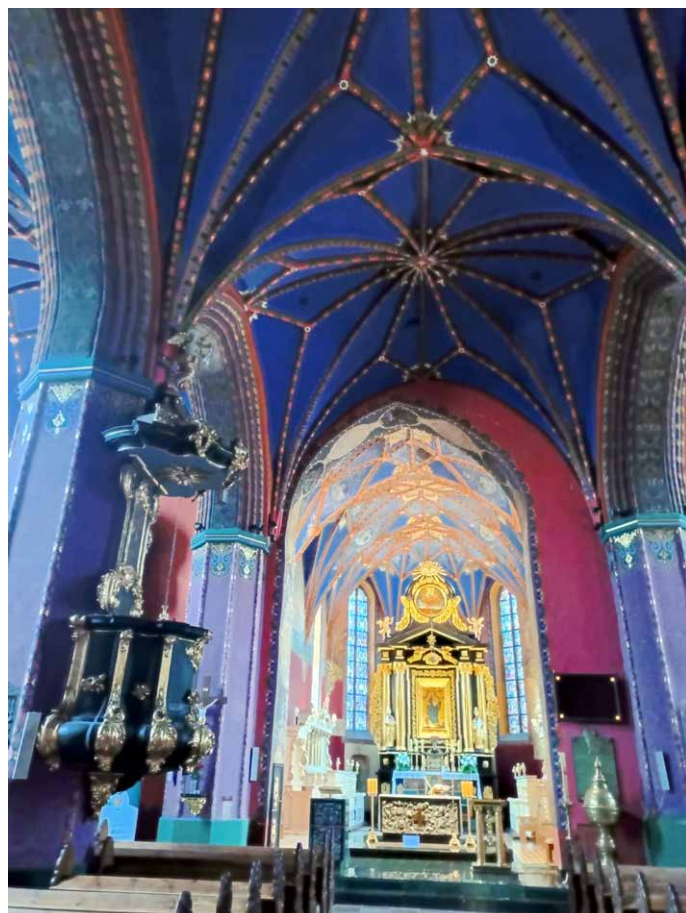
Witraż wg projektu i wykonania Henryka Nostitz-Jackowskiego

Cybichowskiego². Zostały wykonane w okresie prowadzenia prac konserwatorskich zainicjowanych przez ówczesnego proboszcza ks. Tadeusza Skarbkę-Malczewskiego³. Wiadomo, że do postaci świętych

Kasie Chorych przy ul. Uniwersyteckiej w Toruniu. Wykonał polichromie m.in. w kościele św. Wojciecha w Poznaniu, kościele św. Stanisława BM (ob. konkatedra) w Ostrowie Wlkp.

2 **Stefan Cybichowski** (ur. 2 sierpnia 1881 r. w Poznaniu, zm. 6 stycznia 1940 r. tamże) – polski architekt i działacz społeczny, członek Wydziału Technicznego Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W latach 1920–1926 wykładowca budownictwa wiejskiego na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. Był członkiem Rady Miejskiej w Poznaniu (1919–1925), a później (1927–1931) honorowym radcą Magistratu m. Poznania. Należał także od 1911r. do Stowarzyszenia Artystów w Poznaniu. Był członkiem Towarzystwa Miłośników Miasta Poznania. 28 października 1939 r. został aresztowany w ramach Intelligenzaktion Posen przez Gestapo wraz z grupą profesorów i osadzony w Forcie VII, gdzie został rozstrzelany.

3 **Tadeusz Skarbkę-Malczewski** (ur. 16 grudnia 1873 r. w Smolarach, zm. 2 października 1929 r. w Bydgoszczy) – ksiądz, proboszcz w parafii farniej w Bydgoszczy (1921–1929), dziekan bydgoski. Jego staraniem odrestaurowano także w latach 1922–1925 kościół Klarysek w Bydgoszczy, prawie 100 lat nie używany do celów kultowych. Udzielał się w Towarzystwie Opieki nad Niewidomymi, był członkiem



Widok na nawę główną z gotyckimi sklepieniami i XVIII-wieczną rokokową amboną pochodzącą z kościoła karmelitów

i aniołów pozowali artyście znani bydgoszczanie, w tym także pierwsi prezydenci wolnej międzywojennej Bydgoszczy, kupcy, zasłużeni działacze, ich żony i córki. Niezwykle jaskrawe kolory modernistycznej polichromii pokrywającej całe wnętrze świątyni wspaniale współgrają z barokowym XVII-wiecznym wystrojem. Część tego wyposażenia pochodzi z nieistniejącego kościoła o.o. karmelitów, który uległ kasacji w 1809 r., m.in. piękne stalle w prezbiterium.

Historia kościoła jest niezmiernie ciekawa i trzeba tutaj zaznaczyć, że w swojej 560-letniej⁴ historii aż przez 458 lat była jedynym kościołem parafialnym w Bydgoszczy. Do ciekawostek można zaliczyć fakt, że dzwonnica mieści dzwony pochodzące

Rady Nadzorczej i Zarządu Spółki Akcyjnej Karbid Wielkopolski w Bydgoszczy. W marcu 1925 r. wszedł w skład komitetu honorowego budowy pomnika Henryka Sienkiewicza w Bydgoszczy. Był także długoletnim członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

4 Licząc od zakończenia budowy w 1466 roku, za oficjalną datę uważa się rok 1502 stąd też w 2002 r. uroczystie obchodzono 500-lecie fary, z której to okazji Jan Paweł II przesłał specjalny list do Bydgoszczan. 25 marca 2004 r. na mocy dekretu Jana Pawła II, kościół farny stał się katedrą nowo utworzonej diecezji bydgoskiej. Patronką diecezji ustanowiono Matkę Boską Piękną Miłości, której obraz znajduje się w ołtarzu głównym.



Wejście do nawy południowej z ołtarzem św. Rocha (1696 r.) ufundowanym przez Stanisława i Helenę Konarskich pochodzący z kościoła bernardynów

z Kamieńca Podolskiego: pierwszy z 1641 r., opisany w powieści Henryka Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski”, bijący na alarm podczas oblężenia tureckiego w 1672 r., drugi z 1737 r. z kościoła dominikanów. Trafiły do Bydgoszczy dzięki ustaleniom traktatu ryskiego z 1921 roku, który zakończył wojnę polsko-bolszewicką, na podstawie którego władze sowieckie miały oddać Polsce wszystkie zagrabione dzwony z Kresów. 21 listopada 1923 roku nad Brdę dotarły trzy dzwony z Kamieńca Podolskiego. Jeden z nich znalazł potem miejsce w parafii w Łabiszynie. Bydgoskie dzwony przetrwały szczęśliwie II wojnę światową i po stu latach dalej biją dla Bydgoszczan, trzy razy dziennie o: 7.30, 12.00 i 16.30.

Bydgoska fara jest również miejscem chrztu Mariana Rejewskiego⁵, który od 01.09.1932 r. pracował w Biurze Szyfrów w Warszawie i we współpracy z Jerzym Różyckim i Henrykiem Zygalskim złamał kody niemieckiej maszyny szyfrującej „Enigma”.

⁵ **Marian Adam Rejewski** (ur. 16 sierpnia 1905 r. w Bydgoszczy, zm. 13 lutego 1980 r. w Warszawie) – polski matematyk i kryptolog. W 1923 roku zdał maturę w bydgoskim gimnazjum – dzisiaj I LO im. C.K. Norwida. W 1929 r. obronił tytuł magistra filozofii i matematyki na Uniwersytecie Poznańskim. Już na ostatnim roku studiów uczestniczył w kursie kryptologicznym, gdzie okazał się znakomitym matematykiem-kryptologiem. Zmarł w Warszawie 13.02.1980 r. na zawał serca. Pochowano go na warszawskich Powązkach.

Warto również zajść nad Brdę za katedrą – znajduje się tam XVIII-wieczna rzeźba św. Jana Nepomucena, która jest najstarszą w Bydgoszczy rzeźbą figuralną stojącą na świeżym powietrzu. Św. Jan Nepomucen, najbardziej znany czeski święty, to patron szczerej spowiedzi oraz orędownik podczas powodzi. Według tradycji ludowej był świętym, który chronił pola i zasiewy przed powodzią, ale również i suszą, dlatego figury Jana Nepomucena (nepomuki) można spotkać jeszcze dzisiaj przy drogach w sąsiedztwie mostów, rzek, ale również na placach publicznych i kościelnych oraz na skrzyżowaniach dróg. Jest także patronem mostów i może dlatego jego figura znalazła swoje miejsce przy jednym z bydgoskich zabytków techniki – Jazie Farnym, a jednocześnie jest ostatnim świadkiem nieistniejącego już cmentarza farnego.

I na koniec jeszcze jedna ciekawostka – na południowej ścianie, wysoko na koszu rynny, znajduje się niewielki orzełek w koronie, który w czasach okupacji hitlerowskiej został przeoczony przez Niemców. Ten mały symbol, jedyny w Bydgoszczy w tamtym okresie, stał się miejscem potajemnych wizyt młodych Polaków, którzy oddawali hołd godłu swojego kraju.

Bydgoska fara jest dziś nie tylko najstarszym zabytkiem architektury miasta i świadkiem jego historii. Stanowi swoiste muzeum i nośnik pamięci nie tylko pod względem przechowywanych w niej zabytków przeniesionych ze zlikwidowanych nieistniejących już religijnych instytucji i świątyń, ale zapewne również kryjąc w sobie to co jeszcze nieodkryte. Świadectwem tego może być odkryty w 2018 roku w krypcie przy prezbiterium skarb. W pozostałościach skrzyni ukrytej najprawdopodobniej za czasów potopu szwedzkiego znaleziono ponad 200 wyrobów z XVII w., a także 486 złotych monet z lat 1570-1652.⁶

Źródła:

Łbik L., *Fara – świadek historii miasta*, „Kalendarz Bydgoski”, 2004, s. 191-195

https://www.o.pisz.pl/Parafia_farna_w_Bydgoszczy (data dostępu: 17.03.2026)

https://pl.wikipedia.org/wiki/Katedra_%C5%9Bw._Marcina_i_Miko%C5%82aja_w_Bydgoszczy (data dostępu: 17.03.2026)

https://pl.wikipedia.org/wiki/Ko%C5%9Bci-%C3%B3%C5%82_%C5%9Bw._Idziego_w_Bydgoszczy (data dostępu: 17.03.2026)

Maciej Lewan

⁶ Skarb można podziwiać na wystawie w Europejskim Centrum Pieniądza na pobliskiej Wyspie Młyńskiej będącym oddziałem Bydgoskiego Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego

Ćwilin dobry na wiosnę

Beskid Wyspowy to specyficzna grupa górską. Prawie nigdzie nie zapewnia tak ulubionych przez większość z nas długich wędrówek grzbietowych, co to „raz się wypinasz i dalej idziesz prawie po równym”. Tu praktycznie każdy kolejny szczyt to

pod Cyckiem” z niezłym jadłospisem i sporym parkingiem (dla „niespożywających” bodaj 10,- zł za cały dzień). Biegnie przez nią niebieski szlak z Kasiny Wielkiej przez Śnieżnicę, prowadzący dalej przez Ćwilin do Jurkowa. Propozycja dotyczy właśnie tej drugiej części szlaku.



Nad Przełęczą Gruszowiec. Po lewej stoki Śnieżnicy, w głębi Łopień

nowa wspinaczka, podczas której mamy do pokonania w jednym kawałku 300-600 metrów przewyższenia i to z reguły dość stromym podejściem. Dlatego zwykle „dozuję” sobie te szczyty bez pośpiechu, po jednym na dzień. Tak jak ów Ćwilin (1072 m n.p.m.). A dlaczego akurat na wiosnę? Okaże się niżej.

W związku ze wspomnianymi przewyższeniami zdobywanie poszczególnych gór najlepiej zaczynać z miejsc, skąd są one najmniejsze. W przypadku Ćwilina takim miejscem jest przełęcz między tym szczytem, a sąsiadującą z nim od północy Śnieżnicą (1007 m n.p.m.), zwana Przełęczą Gruszowiec (660 m n.p.m.). Wyznacza ona granicę między wsiami Kasiną Wielką (na zachodzie) oraz Gruszowcem (na wschodzie) i odpowiednio między katolickimi diecezjami krakowską i tarnowską. Przez przełęcz biegnie droga krajowa nr 28 idąca śladem dawnej drogi transwersalnej poprowadzonej wzdłuż północnych stoków Beskidów Zachodnich (tu na odcinku z Mszany Dolnej do Limanowej). Kursują nią (niezbyt często) autobusy pomiędzy wspomnianymi miastami (przystanek ok. 200 m na zach. od przełęczy). Na samej przełęczy funkcjonuje słynny „Bar

Od drogowskazu przy parkingu znaki wiodą początkowo szosą w kierunku Limanowej (na wsch.), po czym po ok. 100 m skręcają w prawo w wyraźną dróżkę. Za plecami mamy buro-zielony o tej porze trójwierzchołkowy grzbiet Śnieżnicy. Na wschodzie, poza doliną Łososiny, widoczny jest masyw Łopienia. Dróżka wiedzie lekkim łukiem ku samotnemu gospodarstwu (nosi ono symboliczną nazwę „Na Granice”), po czym wykręca znów w prawo,



Krzyż Władysława Kowalczyka



Widok z polany szczytowej na pn. Nad grzbietem Śnieżnicy wystaje wierzchołek Ciecienia, po lewej Wierzbanowska Góra, w głębi Lubomir

w górę stoku. Widoczne tu tarasy biegnące w poprzek zbocza to efekt pracy wielu pokoleń tutejszych mieszkańców, którzy mozolnie formowali niewielkie, wąskie zagony tak, by maksymalnie ograniczyć splukiwanie z nich urodzajnej gleby. Po chwili wchodzimy w las. Kiedyś ten, który porastał dolną część północnych stoków góry, nazywany był „chłopskim lasem”, bo należał do gospodarzy z Gruszowca. Z kolei wyżej, pod szczytem, rósł „pański las” należący do dziedziców majątku w Dobrej.

Ćwilin jest bodaj najbardziej kształtną z „wysp” Beskidu Wyspowego. Jego masyw ma rzut bardzo „kolistego” owalu (ok. 4x3,5 km) i formę kształtnej kopy z wierzchowiną rozciągniętą nieco w linii wschód-zachód. Północne stoki owej kopy są nieznacznie tylko oznaczone drobnymi ciekami wodnymi, natomiast stoki południowe rozczłonkowane są wyraźnymi, dość głębokimi dolinkami czterech większych potoków, z których dwa wschodnie uchodzą do Łososiny, zaś dwa zachodnie – do Łostówki (dopływ Mszanki). Kopułę Ćwilina budują w całości piaskowce i łupki warstw magurskich, natomiast podstawę – piaskowce i łupki tzw. warstw hieroglifowych oraz łupki pstre. To właśnie warstwy łupkowe odpowiedzialne są za powstawanie w tych formacjach, zwanych fliszem karpackim, osuwisk. Na Ćwilinie największe takie osuwisko znajduje się w dolnych partiach zachodnich stoków góry, natomiast zupełnie młode – na zboczu północnym na zachód od przełęczy Gruszowiec, tuż nad granicą lasu.

Wszystkie stoki Ćwilina są strome, jednak podejście od północy jest najbardziej wymagające. Na odcinku ok. 1,3 km pokonujemy „w jednym kawałku” różnicę wysokości równą 340 m. Niby niewiele, ale... Po prawej, przy samej ścieżce, stoi prosty, drewniany krzyż, pod którym zwykle dostrzeżemy wiązkę kwiatów

i wypalone znicze. Na tabliczce na krzyżu widnieje nazwisko Władysława Kowalczyka (1945-2009). Był przewodnikiem beskidzkim i członkiem komisji egzaminacyjnej dla przewodników beskidzkich przy marszałku województwa małopolskiego, a także jednym z czołowych działaczy reaktywowanego w 1990 r. Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Nowym Sączu. Jego życie dobiegło kresu tu, na stoku Ćwilina...

W górnej części zbocza przekraczamy kolejno dwie drogi stokowe.

O tej wiosennej, kwietniowej porze możemy tu czasem spotkać jeszcze na ścieżce płyty starego, zlodowaciałego śniegu. Przy trzecim, kolejnym płaju, na wysokości ok. 1020 m n.p.m. wychodzimy z lasu na rozległą polanę szczytową góry. O ile niżej w drzewostanie dominował świerk, tu w otoczeniu polany dostrzeżemy spore fragmenty litych buczyn. Możemy podziwiać fantastycznie powykręcane pnie tych drzew, które okryją się liśćmi dopiero za kilka tygodni.

Szczyt Ćwilina pokrywa wielka Polana Michurowa. Wypasali tu owce bacowie z Jurkowa, Wilczyc i Łostówki. Pod koniec XIX w., w czasach największego przeludnienia Galicji i ogromnego braku ziemi uprawnej, część polany została zaorana. Przez pewien czas uprawiano tu ziemniaki, a nawet zboża. Świadczą o tym identyfikowalne do tej pory ślady zagonów i zarośnięte borówczyskami kupy kamieni zbieranych z pól podczas orki.

Wypasy na szczycie Ćwilina utrzymywały się jeszcze przez dłuższy czas po II wojnie światowej. Trzy funkcjonujące tu latem gospodarstwa szłaśnicze wspominał Stanisław Pagaczewski w swym



Buki pod szczytem Ćwilina



Kwitnące przebiśniegi

przewodniku „Babia Góra, Gorce i Beskid Wyspowy” wydanym w 1951 r. Z czasem jednak pasterstwo zaczęło zanikać. Starsi (najstarsi?) turyści pamiętają, jak jeszcze na początku lat 80. ub. wieku pasł tutaj owce baca Kołodziej z Wilczyc. Jak podaje z kolei Dariusz Gacek w swoim przewodniku „Beskid Wyspowy” (2020), ostatni szałas na Ćwilinie spalił się na początku lat 90. Polana służyła jeszcze przez pewien czas jako łąka kośna, ale redukcja hodowli, a przede wszystkim nieopłacalność pozyskiwania siana dość słabej jakości z tak trudno dostępnych miejsc spowodowały, że i tego zaniechano. Dziś hala na Ćwilinie, pomimo pewnych prób jej ratowania gwoździ utrzymania bioróżnorodności, zarasta w coraz szybszym tempie. Najpierw pojawiają się borówczyska, później krzewy iwy, w końcu świerki. Według różnych źródeł, w stosunku do największego areału polany w połowie XIX w. jej zasięg zmniejszył się do naszych czasów o 70, a nawet więcej procent! Szczęśliwie jest jeszcze wiele miejsc, na których wczesną wiosną bezlistne jeszcze drzewa i krzewy niezupełnie zasłaniają widoki, a do tego możemy cieszyć oczy sporymi łanami kwitnącymi tu przebiśniegów.

Polana na Ćwilinie jest dość mocno „zabudowana”. Obok ławki na wierzchołku, której towarzyszy mapa Beskidu Wyspowego, mamy tu drewniany stół z ławkami – w sam raz na spożycie drugiego śniadania. O takiej wiosennej porze zwykle nie ma przy nim tłoku! 200 m na zach. od wierzchołka, pod starym, roschatym bukiem z kapliczką, stoi obelisk poświęcony Janowi Pawłowi II ufundowany przez parafian z Jurkowa i kamienny stół ołtarzowy ustawiony tu w millenijnym roku 2000,

przy którym czasami odprawiane są polowe msze.

W pobliżu wierzchołka znajduje się również sporych rozmiarów poster przedstawiający fragment historii, która dzieła się w tym rejonie w czasie II wojny światowej. Gorce i Beskid Wyspowy były wówczas terenem aktywnej działalności Armii Krajowej zaopatrywanej w niezbędne uzbrojenie i wyposażenie zrzutami lotniczymi. Zimą i wiosną 1944 r. na rozległych polanach na szczycie Ćwilina wyznaczono zapasowe zrzutowisko o kryptonimie „Sokół” dla alianckich samolotów, które z różnych przyczyn nie byłyby w stanie zrzucić ładunków w docelowych lokalizacjach. Nie zostało ono wówczas wykorzystane, a latem przeniesiono zrzutowisko na wielką Polanę Stumorgową na niedalekiej Mogielicy.

W dole polany, dokładnie na południe od szczytu, w odległości ok. 300 m od niego znajduje się wydajne źródło. Przy nim okresowo pojawia się jakaś prymitywna wiata lub inne zadaszenie mogące dać krótkotrwałe schronienie przed deszczem. Idąc ścieżką dalej w dół, w las i zostawiając po lewej ręce spływ ze źródła, osiągamy po kilku minutach murowaną kapliczkę z wizerunkiem Matki Boskiej i krzyż. Schodzące stąd dróżki sprowadzają do Wilczyc (p. niżej).

Polana na Ćwilinie cieszy się sławą doskonałego punktu widokowego. Las po stronie północnej ogranicza panoramę, ale widoki w kierunku przeciwnym są naprawdę imponujące. Obejmują szmat gór od Pasma Radziejowej w Beskidzie Sądeckim (na południowym wschodzie) po Babią Górę i Pasma Policy na południowym zachodzie. Przy dobrej widoczności (co, niestety, wiosną zdarza się rzadko...) horyzont południowy zamykają Tatry widoczne tu od Łomnicy



Na szczycie Ćwilina



Pomnik papieski i stół ołtarzowy na Ćwilinie

w Tatrach Wysokich (na wschodzie) po Siwy Wierch w Tatrach Zachodnich (na zachodzie). Wyjątkowe warunki i lornetka pozwalają jeszcze bardziej w prawo dojrzeć na Słowacji piramidę Wielkiego Chochoza, a nawet odległą o ok. 100 km Małą Fatrę, w której wyróżnia się Wielki Rozsudec. Większość z nas (w tym i ostatnio autor niniejszych słów) musi się podczas wizyt na Ćwilinie zadowolić zwykle bliższymi widokami na pasmo Gorców i sąsiednie szczyty Beskidu Wyspowego.

Na koniec, pisząc o Ćwilinie, nie można pominąć tego, o czym opowiadają wszyscy przewodnicy prowadzący wycieczki na tę górę. Otóż w latach międzywojennych (bodaj w połowie lat 20.) znany już wówczas krajoznawca, prof. Kazimierz Sosnowski, przywiódł tu pewnego dnia grupę swoich uczniów. Rano, po noclegu w pasterskim szałasie na szczytowej polanie, ukazał się im jedyny w swoim rodzaju widok: cały teren w zasięgu wzroku zakrywało morze gęstych mgieł, z których jak wyspy sterczały jedynie wierzchołki okolicznych, samotnych gór. Miało to dać Sosnowskiemu asumpt do nazwania tej grupy górskiej właśnie Beskidem Wyspowym.

W rzeczywistości, jak podaje w swym przewodniku wspomniany wyżej Dariusz Gacek, owa „wyspowość” tych gór została wyartykułowana jeszcze przed I wojną światową przez geografa zajmującego się Karpatami, prof. Ludomira Sawickiego. A do nomenklatury naukowej i turystycznej nazwę wprowadził zapewne najmocniej inny wybitny geograf, a jednocześnie zapalony turysta górski i działacz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, późniejszy prof. Stanisław Leszczycki, który tytuł naukowy doktora uzyskał w 1932 r. po przedstawieniu pracy

pt. „Badania geograficzne nad osadnictwem w Beskidzie Wyspowym”.

Wejście na Ćwilin opisaną trasą z Przełęczy Gruszowiec zajmuje ok. 1 h 10. Na Ćwilinie znajduje się węzeł znakowanych szlaków turystycznych. Ci, którzy nie muszą wracać do samochodu pozostawionego na przełęczy (ok. 40 min), mogą zejść za niebieskimi znakami do Jurkowa (ok. 1 h 20). Szlak w większości prowadzi lasem, dopiero ostatni odcinek oferuje widoki na Łopień i położoną na południe od niego Mogielicę. Jeśli dysponujemy większą ilością czasu, można skierować się w przeciwną stronę, na zachód. Żółte znaki zaprowadzą nas wprost do Mszany Dolnej (ok. 3 h 10), przy



Zarastające polany na Ćwilinie

czym pierwsza 1/3 drogi to zejście zalesionym stożkiem Ćwilina, a pozostała część – to lekka wędrówka na wysokości nie przekraczającej 700 m n.p.m. długim, widokowym grzbietem Czarnego Działu (673 m n.p.m.) i Wsołowej (624 m n.p.m.), wśród lasków poprzedzielanych łąkami i polami (Uwaga! Słabe oznakowanie). Amatorzy chodzenia bez szlaku mogą próbować zejścia w kierunku południowym. Szereg leśnych dróg sprowadzi nas do Wilczyc lub Łostówki, które mają (rzadkie, bo rzadkie, ale jednak...) połączenia autobusowe z Mszaną Dolną. Najbardziej zagorzali traperzy mogą spróbować zejść z Ćwilina w kierunku południowo-wschodnim, do dolinki potoku Rosłaniec, by pod Małym Ćwilinkiem (795 m n.p.m.) obejrzeć ślady kolejnego osuwiska, jakie miało tu miejsce w 1927 r.

Mirosław J. Barański

Niebezpiecznie w końcu zimy

W Beskidach do najtragiczniejszego zdarzenia doszło w końcu lutego na zboczach Lackowej. Kto odwiedzał tę górę, wie, że od Przeł. Beskid prowadzi na szczyt bardzo stromy miejscami szlak. Ratownicy Grupy Krynickiej GOPR interweniowali na stromym odcinku czerwonego szlaku pomiędzy Przełęczą Beskid a wierzchołkiem Lackowej. Turystka poślizgnęła się, a być może zahaczyła rączkiem o podłoże i obsunęła się ok. 20 m na oblodzonym i kamienistym szlaku. Na skutek upadku doznała ciężkiego urazu – wystający z ziemi korzeń przebił okolice pachwiny, powodując intensywne krwawienie. Świadkowie wypadku wezwali GOPR, a ratowników wspomagali strażacy z miejscowych OSP, wezwano także, ze względu na wysokie zagrożenie życia, załogi pogotowia ratunkowego i LPR. Ratownicy zatamowali krwawienie i uwolnili uszkodzoną z pułapki, jaką był tkwiący w ciele korzeń, rozcinając go. Ponieważ doszło do zatrzymania krążenia, podjęto resuscytację krążeniowo-oddechową oraz wdrożono zaawansowane czynności medyczne. Następnie, przy asekuracji technik linowych, przetransportowano uszkodzoną w bardziej bezpieczny teren, skąd quadem przewieziono ją na lądowisko, gdzie została przekazana załodze śmigłowca LPR.

W Tatrach, już na początku marca, wezwano TOPR do wypadku w rejonie Starorobociańskiego Wierchu. Świadkowie zgłosili, że turysta nagle przewrócił się, po czym zsunął się po śniegu stromym zboczem w kierunku Kończystego Wierchu. Pierwsze czynności ratunkowe podjęli inni turyści, próbujący przywrócić czynności życiowe. Prawdopodobnie upadek był następstwem zasłabnięcia i utraty przytomności. Ratownicy przybyli śmigłowcem przejęli działania ratunkowe,



Lackowa, Przeł. Beskid i Czerteż wiosną

niestety, po półgodzinnych działaniach lekarz TOPR stwierdził śmierć turysty. Pozostało zwieźć jego ciało do Zakopanego.

Te dwa zdarzenia uświadamiają, że niestety, ale nawet gdy staramy się zachowywać w górach bezpiecznie, to nie zawsze się to udaje. Raz, że potknięcie się, zahaczenie rakiem lub rączkiem może się zdarzyć każdemu. Pamiętamy, że nawet wybitni himalaiści ginęli na skutek potknięcia czy wypięcia raka (tzw. automatycznego). Być może turystka na Lackowej nie miała założonych rączków, choć przypuszczam, że była w nie wyposażona (tego nie wiemy), jak ogromna większość turystów idących tej zimy w góry nawet na bardzo łatwe szlaki. Końcówka lutego charakteryzowała się wysokimi temperaturami dziennymi i nocnymi przymrozkami. To powodowało oblodzenia szlaków. Praktycznie do południa wszędzie w górach spotykało się zmrożony śnieg lub lód, także lód zalegający pod cienką warstwą świeżego śniegu, zwłaszcza na zacienionych odcinkach szlaków. I tu uwaga! Dotyczy fragmentów szlaków w cieniu pokrytych warstwą liści. Pamiętam, jak dziś, kiedy schodziliśmy z Wielkiego Rozsutca gdzieś na początku... maja. A mamy wszak kwiecień. Już po zejściu ze szczytu szlak łagodnie obniżał się, ale wcale nie było łatwo. Po zejściu zdjęliśmy raki, widząc szeroką ścieżkę pokrytą liśćmi, było to dawno, w epoce „przedraczkowej”. To była pułapka. Pod tymi liśćmi zalegał lity lód! Taką niespodziankę można spotkać na przedwiośniu w górach. Może to wygląda śmiesznie, takie chodzenie w rączkach po liściach, ale lepiej uważać, by nie odbić sobie grzbietu albo rozbić głowę. Wbrew pozorom także przemarsz po płaskiej, ale oblodzonej drodze też może być uciążliwy, a nawet niebezpieczny. Zdjąć rączki można w każdej chwili, więc nie róbmy tego za wcześnie.

Wypadek na Starorobociańskim to prawie nieprzewidywalne zdarzenie losowe, ale uczy jednego. Kontrolujmy stan swojego zdrowia. Każdego roku w górach dochodzi do kilku podobnych zdarzeń. Niektóre mają dobre zakończenie, świadkowie podejmują czynności ratunkowe, potem ratownicy wyciągają uszkodzonego z zapaści, a ciąg dalszy leczenia przebiega już w szpitalu. Niestety, część owych „incydentów krążeniowo-oddechowych” mimo niemal natychmiastowej pomocy kończy się śmiercią. Stąd konieczność kontrolowania zdrowia, do czego zachęcam, szczególnie kolegów turystów, bo ogromna większość tych przypadków dotyczy mężczyzn.

Juliusz Wystouch

Türkiye (Turcja) zaprasza na wielkanocną podróż śladami wiary, historii i oznak wiosny

Tegoroczna Wielkanoc przypada na jedne z najpiękniejszych dni wiosny, zatem krótki wyjazd o tej porze roku może być szczególnie satysfakcjonujący. Türkiye (Turcja) wyróżnia się jako atrakcyjny kierunek, gdzie można spędzić okres świąteczny, oferujący niezwykle, tętniące życiem wiosenne krajobrazy oraz jedno z najbardziej fascynujących dziedzictw religijnych na świecie ukształtowane przez wieki pełne wiary, historii i kultury. Wpisane w tę bogatą mozaikę chrześcijańskie szlaki w Türkiye (Turcji) gwarantują wyjątkowy sposób świętowania Wielkanocy – właśnie tam, gdzie swoje początki ma chrześcijaństwo.



Bursa Iznik – Hagia Sophia (fot. TGA)



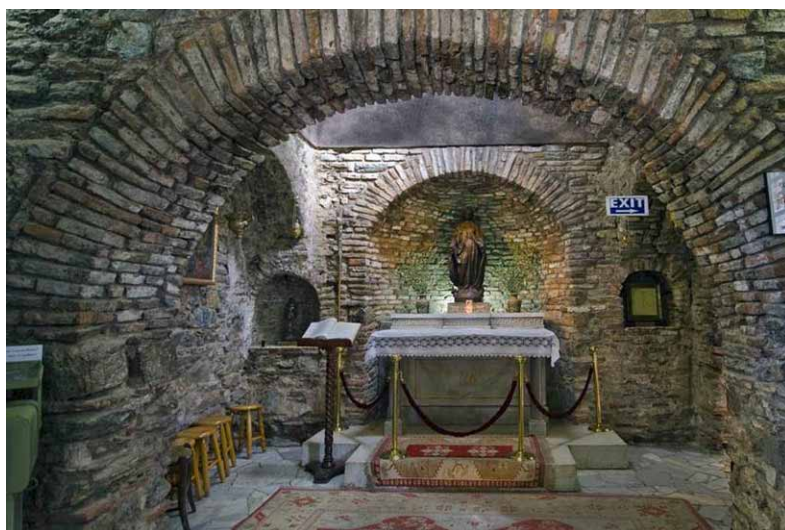
Göreme Open Air Museum (fot. TGA)

Duchowa odyseja rozpoczyna się w Izniku

Położone w prowincji Bursa miasteczko należące do sieci Cittaslow – Iznik znajdujące się również na Liście Informacyjnej Światowego Dziedzictwa UNESCO, które podczas swojej pierwszej podróży zagranicznej, w listopadzie ubiegłego roku, odwiedził papież Leon XIV, jest idealnym miejscem na wielkanocny wyjazd. Niegdyś uważane za miasto święte Iznik był gospodarzem dwóch najważniejszych soborów powszechnych uznawanych przez wszystkie Kościoły chrześcijańskie. To właśnie tutaj odbył się Pierwszy Sobór Nicejski, podczas którego ustalono daty obchodzenia świąt Wielkanocnych. Iznik, do którego można udać się na jednodniową wycieczkę ze Stambułu, szczególnie zachwyca wiosną, gdy wszystko wokół kwitnie. Odwiedzający mogą tu zobaczyć meczet Hagia Sophia uważany za miejsce obrad VII Soboru Powszechnego, przespacerować się wzdłuż starożytnych murów miejskich oraz zwiedzić teatr rzymski. W mieście dokonano także niezwykłych odkryć, w tym unikatowej komory grobowej z przedstawieniem Jezusa jako „Dobrego Pasterza” odsłoniętej na terenie nekropolii w Hisardere.

Następny przystanek: Siedem Kościołów Apokalipsy

Biblijne dziedzictwo Türkiye (Turcji), które można odkrywać w okresie Wielkanocy, rozciąga się dalej na zachód, na tereny Siedmiu Kościołów Apokalipsy. Znajdują się one na obszarze dzisiejszych prowincji İzmir, Manisa i Denizli. Według Apokalipsy św. Jana otrzymał on objawienie od Jezusa Chrystusa, aby napisać listy do tych starożytnych kościołów. Każdy kościół i jego przedstawiciele otrzymali dokładne przesłanie, aby poprawić swoje postępowanie. Pierwszy z kościołów znajdował się w Efezie, następny w Smyrnie (dzisiejszy İzmir), Pergamonie, Tiatyrze, Sardes, Filadelfii, a ostatni w Laodycei. Zwiedzając wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO Efez, warto odwiedzić także pobliski Dom Najświętszej Maryi



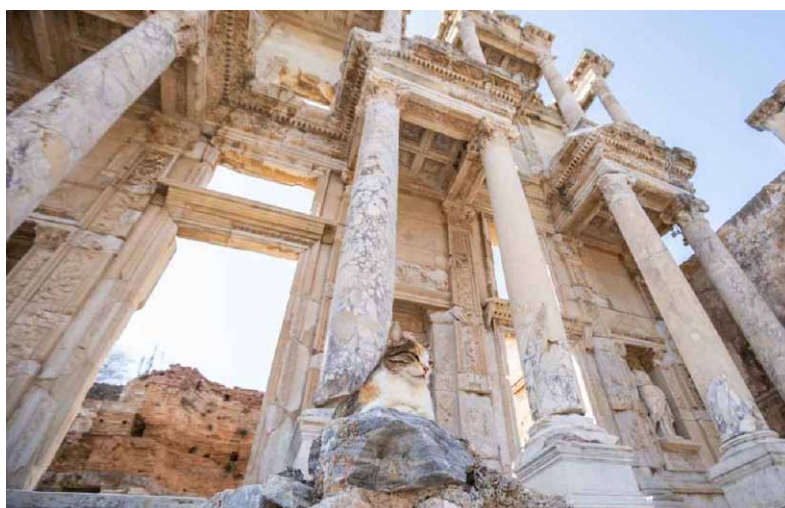
Izmir Efes House of Virgin Mary (fot. TGA)

i lotów balonem, kryje również jeden z najbardziej niezwykłych rozdziałów w historii chrześcijaństwa. Do dziś zachowały się tu starożytne budowle, takie jak podziemne miasta Kaymaklı i Derinkuyu, które pozwalają przemieścić się w czasie. To także tutaj, pod duchowym przewodnictwem św. Bazylego Wielkiego, w dolinie Göreme powstały jedne z pierwszych kościołów. Świątynie Tokalı oraz Karanlık (Ciemny Kościół) znajdujące się na terenie Parku Narodowego Göreme wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO należą dziś do najcenniejszych przykładów tej architektury i słyną z harmonijnych łuków oraz pięknych fresków.

Śladami św. Pawła

Kolejna duchowa podróż wielkanocna może prowadzić do południowej Anatolii, gdzie św. Paweł, jeden z najważniejszych apostołów chrześcijaństwa, spędził znaczną część swojego życia. Szlak św. Pawła odzwierciedla życie i podróże misyjne apostoła po Azji Mniejszej, wskazując kluczowe miasta i regiony, w których szerzył chrześcijaństwo. Dwie odrębne trasy – jedna rozpoczynająca się w Perge, a druga w Parku Narodowym Kanionu Köprülü – łączą się w starożytnym mieście Adada i kończą w miasteczku Cittaslow Yalvaç w prowincji Isparta, oferując podróż bogatą zarówno w piękno przyrody jak i historię wiary.

Biuro prasowe Biura Radcy ds. Kultury i Informacji Ambasady Turcji w Polsce



Izmir Ephesus Ancient City (fot. TGA)



Iznik Discovery (fot. TGA)

Panny oraz uczestniczyć we mszy wielkanocnej w tym świętym miejscu.

Podziemne schronienia dla chrześcijan w Kapadocji

Kapadocja, znana na całym świecie z charakterystycznych „baśniowych kominów”

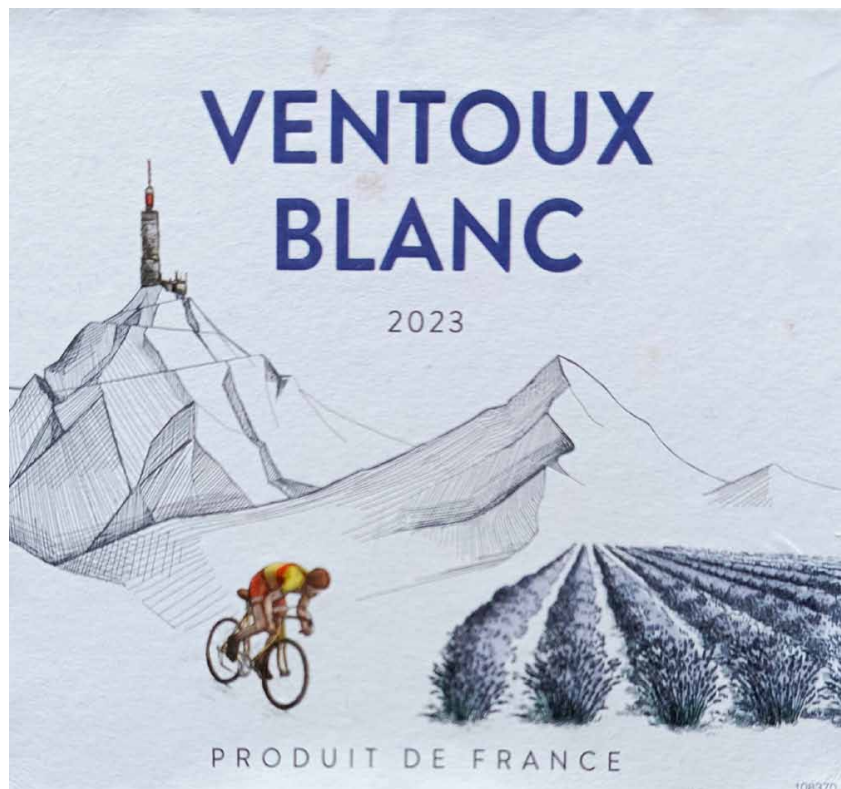


Nevşehir Dark Church (fot. TGA)

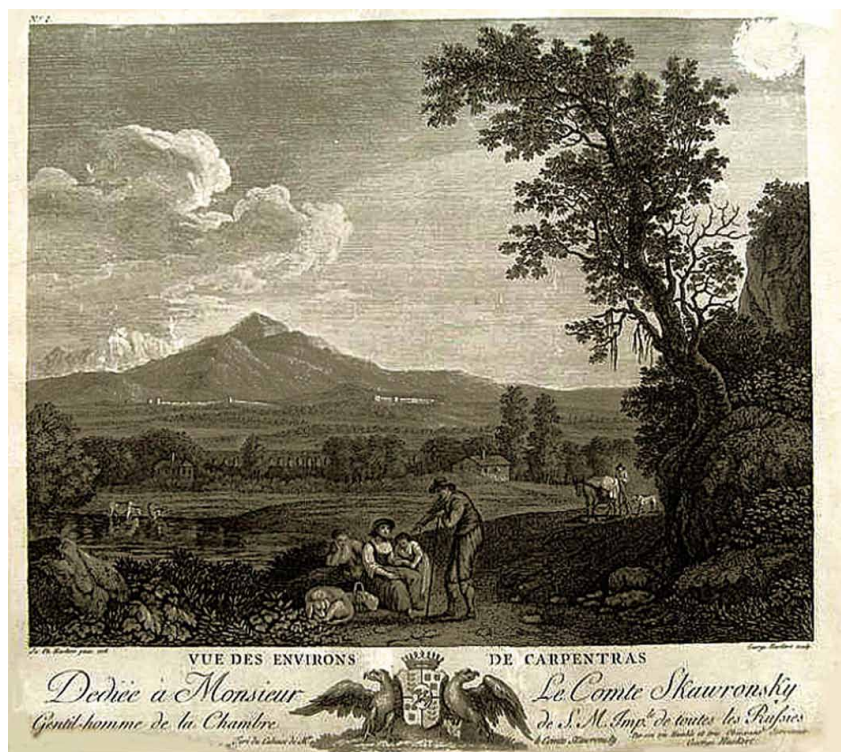
Góry na winie: Mont Ventoux

Bardzo dawno temu zdarzyło się, że podróżowałem przez południową Francję. Zwykle „rzemennym dyszlem”, ale czasem, by nadrobić związa-
ne z tym opóźnienia, byłem zmuszony wsiąść w po-
ciąg. Podczas takiego przejazdu, na trasie wiodącej

w górę doliny Rodanu, nieco powyżej Awinionu, gdzieś na wysokości Carpentras, w prawych oknach wagonu pojawiła się góra. Rozłożysta – właściwie był to cały maszyn górski zajmujący szmat wschod-
nego horyzontu. Ten sam, który dzień wcześniej wi-
działem w Awinionie ze słynnego „urwa-
nego” mostu Bénézeta. *Géant de Provence* (fr. Olbrzym Prowansji) – Mont Ventoux.



Etykieta z butelki wina Mont Ventoux (fot. aut.)



Mont Ventoux widziany z okolic Carpentras (grafika Georgesa A. Hackerta wg obrazu Philippe'a J. Hackerta z końca XVIII w.; domena publ.)

W grudniu ubiegłego roku, poszukując na sklepowych półkach wina do wigilijnej ryby, natknąłem się na butelkę z dość skromnie wyglądającą etykietą – właśnie tą, która widoczna jest na zamieszczonej obok ilustracji. Natychmiast odżyło wspomnienie. Toż to on – Mont Ventoux! Butelka powędrowała do koszyka, a ja zacząłem się zastanawiać, jaką opowieść można by wywieść z tak prostego obrazka...

Mont Ventoux (1910 m n.p.m.), wznoszący się w departamencie Vaucluse, ok. 35 km na wsch. od Orange, to najbardziej na zachód wysunięty tak wysoki szczyt alpejski. Jest najwyższy w grupie górskiej Baronnies we francuskich Preadpach Południowych. Jego maszyn, zbudowany głównie z wapieni, rozciągnięty jest w linii wsch.-zach., poprzecznie w stosunku do osi pobliskiej doliny Rodanu. Od północy ogranicza go dolina rzeki Ouvèze, od południa – dolina rzeki Nesque (obie są dopływami Rodanu). Takie usytuowanie sprawia, że góra narażona jest na bardzo silne wiatry: zimny *mistral*, wiejący doliną od północy, osiąga tu prędkości do 300 km/godz., a podobny wiatr wiejący od południa – nawet 320 km/godz.!

Tak rzucający się w oczy maszyn od dawna przyciągał uwagę ludzi. Z czystej podobno ciekawości wdrapał się na górę w 1336 roku w towarzystwie brata Gherarda i paru służących poeta Francesco Petrarka. Dzięki owej bezinteresownej ciekawości został później namaszczoney na duchowego ojca alpinizmu. Jego wyczyn w kolejnych stuleciach powtórzyło kilku innych sławnych (choć już nie tak bardzo) ludzi, m.in. Eneaszy Sylwiusz Piccolomini (późniejszy papież Pius II; też trudnił się poezją...). Z czasem wchodzenie na Mont Ventoux przestało być jakimś



Automobilista we francuskiej maszynie Darracq na szczycie Mont Ventoux w 1906 r. (domena publ.)

wyjatkowym wyczynem, a w modę weszło... wjeżdżanie nań samochodami! Od kiedy na szczyt wybudowano drogę jezdnią, zaczęli z niej korzystać najpierw pojedynczy automobilści, a wkrótce stała się ona celem zbiorowych rajdów i wyścigów.

Oczywiście, z Mont Ventoux zaczęto zjeżdżać również na nartach. Bo na tej górze śnieg bywa często, co od 1923 r. zaczęli wykorzystywać mieszkańcy pobliskiego Carpentras, organizując pierwsze wycieczki narciarskie oraz wytyczając i znakując pierwsze trasy narciarskie. Ba, w 1930 r. na północnym stoku góry zainstalowano dwa pierwsze w historii wyciągi narciarskie typu zaczepowego, napędzane silnikami spalinowymi, zdemontowanymi z ciężarówek. Dziś powyżej 1400 m n.p.m. działa tam niewielki ośrodek narciarski z bodaj 7 wyciągami.



Sam szczyt Mont Ventoux wygląda nieco księżycowo... (źródło: Wikimedia)

Spójrzmy jednak na załączoną etykietę z butelki wina. Cóż na niej widzimy? Po pierwsze – samą górę. W rzeczywistości nie jest aż tak stroma i tak skalista, ale tak jak to pokazano, zwieńczona jest wysoką na 78 m wieżą nadajnika radiowo-telewizyjnego, zapewniającego transmisję na rozległym obszarze od Drôme do Bouches-du-Rhône. Zarządzany przez TDF (fr. *Télédiffusion de France*) przesyła również sygnały telefonii komórkowej i sieci bezprzewodowych, oferując szeroki zasięg dla regionu Provence-Alpes.

Szczytowe partie góry rzeczywiście są całkowicie nagie, pokryte gołoborzami, których kamienie, wypłowiałe do granic możliwości w promieniach prowansalskiego słońca, wprost błyszczą w pogodne dni. Stoki południowe, suche i nasłonecznione, zwane w Prowansji *adret*, porośnięte są roślinnością śródziemnomorską. Kiedyś w ich niższych częściach rosły bogate lasy dębowo-sosnowe, w okresie od XII do XVIII w. w większości wycięte na potrzeby budowy statków i okrętów w stoczniach Tuluzy i Marsylii. W związku z tym w połowie XIX w. na skutek niekontrolowanej wycinki południowe stoki góry były już prawie całkowicie wylesione. Do ich ponownego zalesienia, podjętego na dużą skalę, użyto sadzonek cedru atlantyckiego. Dzięki temu Francja ma tu dziś największy w Europie las cedrowy.

Północne stoki Mont Ventoux, chłodniejsze i bardziej wilgotne, zwane tu *ubac*, porastają zbiorowiska roślinne typowe dla Europy Środkowej, w tym lasy bukowo-świerkowe, sięgające tu lokalnie do ok. 1700 m n.p.m. Flora masywu liczy łącznie ponad 1000 gatunków, poczynając od tych alpejsko-borealnych, a kończąc na typowo śródziemnomorskich.

Specyficzny rozkład różnorodnych zespołów roślinnych z wieloma rzadkimi gatunkami oraz mnogość związanych z nimi gatunków zwierząt spowodowały, że w 1990 r. masyw Mont Ventoux objęto rezerwatem biosfery o powierzchni 90 tys. ha powstałym w ramach programu UNESCO MAB (ang. *Man and the Biosphere*).



Mont Ventoux z polem lawendy na pierwszym planie (źródło: Wikimedia)

Autor projektu etykiety chciał zwrócić uwagę zapewne właśnie na wspomnianą florę śródziemnomorską, gdyż na pierwszym planie umieścił równie rzędy lawendy uprawianej tu w dużych ilościach i bodaj najbardziej kojarzonej z regionem. Oczywiście, obok upraw roślin przyprawowych i zapachowych największe obszary u południowych i zachodnich podnóży Mont Ventoux zajmują winnice. Côtes du Rhône to w końcu drugi największy we Francji (po regionie Bordeaux) region winiarski, a Côtes du Ventoux to jedna z jego największych domen.

No i w końcu zwróćmy uwagę na trzeci element grafiki etykiety – na sylwetkę kolarza. Przez szczyt przebiega droga nr D 974 z Malaucène po zachodniej stronie masywu do... Bédoin, również po tej samej stronie. W 1951 r. po raz pierwszy poprowadzono

tędy trasę etapu wyścigu kolarskiego Tour de France z metą właśnie na wierzchołku. To tu w 1970 r. legendarny Eddy Merckx spadł na mecie z roweru i stracił przytomność, a nieco niżej trzy lata wcześniej zmarł z wyczerpania (i po amfetaminie...) angielski mistrz świata Tom Simpson.

Dziś legendarny „Olbrzym Prowansji” to dla kolarzy miejsce wręcz kultowe. Tu kończył się 16. etap Tour de France 2025, który startował z Montpellier. Podjazd długości 15,7 km ze średnim nachyleniem 8,8 proc. gwarantował emocje. Dotąd rekordzistą tego odcinka był Iban Mayo, który podczas etapu jazdy na czas w trakcie Criterium du Dauphiné Libéré w 2004 roku przejechał

mierzony dystans w 54 minuty i 30 sekund. Teraz rekord przejął Tadej Pogačar. Słoweniec był w 2025 roku szybszy o... minutę i 20 sekund! To było w lipcu. Moje wino zapewne dojrzywało już wtedy w butelce w jakiejś chłodnej piwnicy...

Niestety, nigdy nie zdarzyło mi się być na przedstawionej tu pokrótce górze. Zwykle w takim miejscu pisze się: *No, ale może jeszcze kiedyś? Może...* A może ktoś z czytelników zawędrował lub zawędruje kiedyś na ten wyjątkowy szczyt i zechce się podzielić wrażeniami? „Ventoux blanc” z rocznika 2023 stało oczywiście na wigilijnym stole. Do podanego karpia okazało się nieco zbyt suche i trochę „chropawe”. No cóż... W każdym razie była okazja do wspomnień!

Mirosław J. Barański

Narwik – miasto pamiętające

Turystyka motorowa ma to do siebie, że wiedzie nas różnymi szlakami – byle by droga była w miarę przejezdna. 13 lat temu postanowiliśmy z kolegą zrobić coś, co dla wielu motocyklistów jest tzw. „must to have”, czyli dojechać na Nordkapp – Przylądek Północny. Środek lokomocji jak na takie podróże nietypowy, bo motocykle typu cruiser, czyli raczej na długie proste, a nie kręte norweskie drogi, ale się udało. A, jako że prosta droga motocyklisty jest zawsze dłuższa, powrotna trasa wiodła nas przez północne wybrzeże Norwegii na Lofoty i dalej w kierunku Atlantic Road. Zjeżdżając z Nordkapp’u drogą E6 na południowy zachód, postanowiliśmy zwiedzić Narwik – miejsce, o którym słyszał każdy, kto choć

trochę interesuje się historią II wojny światowej lub Marynarki Wojennej RP.

Narwik został założony w XIX wieku, kiedy zaczęto wykorzystywać złoża rud żelaza. W 1887 roku rozpoczęto budowę portu, który miał umożliwić eksportowanie surowca transportowanego linią kolejową m.in. z odległej o ok. 180 km Kiruny. Do 1939 roku miasto rozwijało się dzięki przemysłowi i handlowi, szczególnie związanym z górnictwem i stało się ważnym ośrodkiem przemysłowym i handlowym z dostępem do jedyne go niezamarzającego portu na północy Norwegii.

W 1940 roku Narwik stał się miejscem walk między wojskami niemieckimi i alianckimi. W wyniku



Panorama na Narwik



Widok z Narwiku na Ofotfjord

operacji „Weserübung” niemieckie siły desantowe, wspierane przez flotę, zajęły Narwik. Alianci, wiedząc, że Niemcy użyli niewielkich sił, zdecydowali się na kontradziałanie – w kwietniu i maju 1940 roku przeprowadzili operację, w wyniku której odzyskano miasto. U boku sił brytyjskich walczyły niszczyciele ORP Grom, Błyskawica i Burza, do transportu wojsk wykorzystano polskie statki pasażerskie MS Chrobry, MS Batory i MS Sobieski. 3 maja 1940 roku ORP Grom został zatopiony przez niemieckie bombowce, zginęło wówczas 59 członków załogi. W operacji lądowej brała udział Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich pod dowództwem gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza. Niestety, pogarszająca się sytuacja na froncie zachodnim zmusiła aliantów do podjęcia decyzji o ewakuacji z Norwegii i do 8 czerwca wszystkie siły alianckie opuściły region, a Narwik ponownie znalazł się pod kontrolą Niemców. Miasto zostało całkowicie zniszczone w trakcie bitwy, a fiord był pełen wraków (podczas bitwy zatopiono około 20 dużych okrętów). Po wojnie Narwik

został przywrócony Norwegii, a pamięć o alianckich (w tym i polskich żołnierzach) walczących o miasto przypominają pomniki czy kwatery na cmentarzu. Co trzeba przyznać, szacunek do poległych w walkach o Narwik jest okazywany niezależnie od armii, w której walczyli. Wszystkie kwatery, zarówno alianckie jak i niemieckie, otoczone są opieką i zadbane, a w specjalnej szafce usytuowanej w centrum cmentarza znajduje się księga pamiątkowa, w której można zostawić po sobie ślad. Ponadto w okolicach Narwiku można spotkać tablice opisujące działania wojsk w kampanii norweskiej i bitwie o Narwik, przy których często ustawione są pamiątkowe tablice ku czci poległych. Pomimo zmiany pokoleń ślad wojny odcisnięty na mieście wciąż jest widoczny.

Trzeba zaznaczyć, że to, co oferuje nam miasto, to o wiele więcej niż wspomnienie wojny. Faktem jest, że Muzeum Pamięci Wojny jest obiektem najczęściej odwiedzanym przez turystów, jednakże nie jedynym wartym uwagi. Samo muzeum



Tablica pamiątkowa na cmentarzu



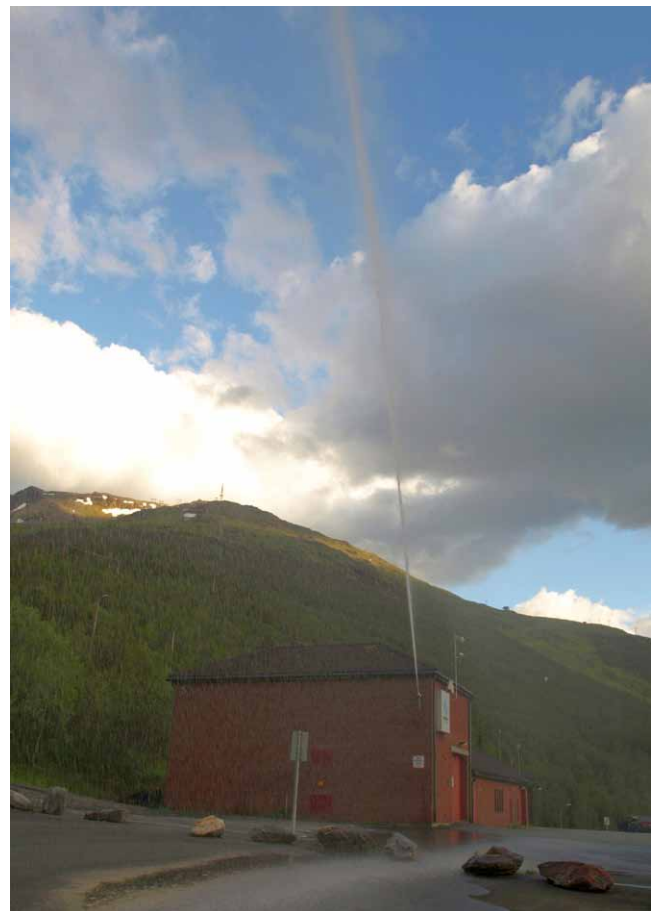
**Pomnik marynarzy ORP Grom z 1979 roku
autorstwa prof. Jana Bohdana Chmielewskiego**

prezentujące losy kampanii norweskiej i prowadzone przez norweską sekcję Czerwonego Krzyża postawiło przed sobą misję, którą zawarło w swoim haśle: „Żeby tworzyć pokój, trzeba zrozumieć wojnę”. Przed samym muzeum stoi jedna z wielu ciekawych rzeźb Narwiku – pomnik matki z dzieckiem.

Panoramę miasta można podziwiać z góry Fagernesfjellet, można tu skorzystać z kolejki linowej Narvikfjellet, która dociera na wysokość 656 m n.p.m., gdzie znajduje się kawiarnia i taras widokowy lub poświęcić dwie godziny, aby dostać się tam pieszo.

W południowej części miasta, na wzgórzu nad fiordem, mieści Ofoten Museum poświęcone cywilnej historii miasta i jego związkom z koleją i transportem szwedzkiej rudy żelaza. Możemy tam poznać proces budowy linii kolejowej, życie w Narwiku i rozwój miasta na przestrzeni ponad 100 lat. Muzeum zlokalizowane jest w wybudowanym w 1902 roku budynku dyrekcji kolei.

Inną ciekawą atrakcją jest działający pomiędzy majem a wrześniem gejzer przy stacji pomp Taraldsvik.



Gejzer przy stacji pomp Taraldsvik

Tryskająca z niego woda, zanim osiągnie punkt wylotowy, płynie przez tunel o długości 1100 metrów oraz rurę o długości 2000 m. Spływa w sposób naturalny z gór i na wylocie osiąga ciśnienie 44 barów, co pozwala jej utworzyć fontannę o wysokości 75 m. Przepływająca przez turbiny tej elektrowni woda produkuje 1,4 megawata czystej energii elektrycznej.



Rzeźba matki z dzieckiem przed Muzeum Pamięci Wojny



Tablice informacyjne nt. kampanii norweskiej

Roczna produkcja osiąga zaś 10 gigawatów i wystarcza na roczne zaopatrzenie 500 gospodarstw domowych. Również czystą górską wodę Narvik wykorzystuje w swoich systemach zaopatrzenia gospodarstw domowych w wodę pitną. Samo otoczenie stacji stanowi zaś popularny obszar wycieczek górskich oraz narciarstwa, a stacja jest punktem orientacyjnym i „Bramą do Tottadalen”.



Pomnik budowniczych kolei

Zwiedzając obrzeża miasta, można trafić na olbrzymi głaz, a właściwie fragment skały wygładzonej przez lodowce, na którym widnieje rycina łosia. Tej 2-metrowej długości rysunek, o wyjątkowo prawidłowych proporcjach i rozmiarach odpowiadających prawdziwemu zwierzęciu, został wykonany ok. 5000 lat temu. Naukowcy do dzisiaj nie są w stanie określić, jaki był cel wykonania tego rysunku i stawiają różne teorie – od aspektów magicznych mających na celu wzmocnienie siły i umiejętności myśliwych do symbolu granicznego lub służącego komunikacji pomiędzy ówczesnymi plemionami.

Ten olbrzymi łoś jest z pewnością najstarszą rzeźbą w Narwiku, a możemy znaleźć ich tutaj znacznie więcej, m.in.:

- Rallarmonumentet – położony w Gulbrandsens Park pomnik z 1959 roku autorstwa Trygve Thorsena upamiętniający robotników (rallarów), którzy budowali linię kolejową Malmbanen z Kiruny do Narwiku;



Drogowskaz z odległościami do innych miast



Centrum miasta z Narodowym Pomnikiem Wolności



Most Hålogaland

- Bawiące się dzieci – brązowa rzeźba autorstwa Trygve Thorsena z 1963 roku umieszczona w Byparken (Park Miejski) w 1965 roku;
- Narodowy Pomnik Wolności (Trinigon 3) – nowoczesna, 18-metrowa stalowa rzeźba w kształcie trójkąta w centrum miasta upamiętniająca wyzwolenie i oddająca cześć pokojowi;

Jeśli nie jesteśmy pasjonatami narciarstwa, to warto wybrać miesiące letnie nie tylko ze względu na znacznie dłuższy dzień, ale i temperatury – pamiętajmy, że Narvik leży za kołem podbiegunowym.

A wszystkim, którzy się zdecydują, życzę pięknych zórz polarnych.

Maciej Lewan

- Kamień z Hiroszimy – pomnik upamiętniający ofiary bombardowań Hiroszimy i Nagasaki;
- Pokój jest obietnicą przyszłości – rzeźba Håkona Antona Fageråsa z 2006 roku umieszczona z okazji 60. rocznicy zrzucenia bomby na Hiroszimę, przedstawiająca leżące na brzuchu małe dziecko i symbolizująca optymizm oraz odporność.

Pobyt w Narwiku trwał półtora dnia – czy to mało? Ze względu na to, że nie mieliśmy w planie wędrowania po okolicy szlakami pieszymi nam wystarczyło – zaletą były „białe noce”, gdyż zwiedzanie obiektów na świeżym powietrzu i ogólnodostępnych można było znacznie przedłużyć, zatem na kwaterę zawitaliśmy grubo po północy, nawet tego nie zauważywszy. Opuszczając miasto i kierując się na Lofoty, minęliśmy jeszcze jedną atrakcję – Most Hålogaland mający długość 1,5 km i będący drugim najdłuższym mostem wiszącym w Norwegii.

Dla tych, którzy nie podróżują na dwóch czy czterech kółkach, a chcieliby zwiedzić to stosunkowo niewielkie, spokojne i urokliwe miasto możliwy jest dojazd koleją ze Szwecji (linia do Narwiku nie jest połączona z norweską siecią kolejową), skorzystanie z samolotu i przylot na lotnisko Harstad/Narvik (lub pobliskie Trondheim, Bodø czy Tromsø), ewentualnie statkiem do Bodø lub Svølvær i dalej autobusem.



www.na-szlaku.net

Polub nas na Facebooku!

Wspomnienia ze wschodu (1)

Wstęp

Korzystając z pomocy macierzystej uczelni, Politechniki Kijowskiej, także jej absolwentów, udało mi się w dawnych czasach odbyć kilkanaście wielodniowych wędrówek po obrzeżach ówczesnego Związku Radzieckiego, zarówno w warunkach miejskich, jak i często w prymitywnych warunkach górskiej turystyki pieszej. Umożliwiło mi to zapoznanie się z okolicami, których odwiedzenie w tamtych czasach było trudne. Opisy wędrówek, w części już publikowane, nieco uwspółcześniłem i proponuję czytelnikom jako obraz egzotyki sprzed 30-60 lat, zupełnie innej turystyki niż dzisiejsza, typowa dla kulturalnych i wysoce zorganizowanych wycieczek, promujących zabytki zachodniej Europy czy świata.

Erewan

Popatrzyłem przez okno. Pod niosącym mnie samolotem w nocnej poświacie księżycy białął pokry-

Wylądowaliśmy na lotnisku Zwartnoc (10 km od stolicy). Znajomy redaktor stołecznej gazety zaprosił mnie do samochodu. Przy wjeździe do miasta na tle gwiazdzistego nieba dostrzegłem olbrzymiego orła z rozpostartymi szeroko skrzydłami. To symbol dawnych armeńskich władców, a dziś symbol Erewanu. Samochód zatrzymał się na wielkim owalnym placu Lenina. Górował nad nim 18-metrowy pomnik wodza. Wokół zobaczyłem monumentalne budowle: gmach rządu republiki (1941), gmach ministerstw, muzeum historyczne, dom związków zawodowych (te trzy powstały do 1958) i hotel ARMENIA, w którym miałem spędzić kilka dni. Budynki oblicowane zostały fioletowo-czerwonym *tufem* – miejscowym materiałem budowlanym pochodzenia wulkanicznego. Plac uzupełniała fontanna wysoko tryskająca wodą.

Następny dzień przeznaczyłem na zapoznanie się z ekspozycją muzeum historycznego. Dowiedziałem się, że Równina Araracka, ograniczona od północy kulminacją Aragac (4090 m n.p.m.), zaś od południa dwugłowym Araratem (5165 m), i przecięta graniczną rzeką Araks, była zamieszkała już od IV tysiąclecia p.n.e. Od IX w. p.n.e. istniało tu silne państwo Urartu, którego mieszkańcy rozwinęli rolnictwo i sadownictwo dzięki budowie systemu kanałów nawadniających. Właśnie Urartowie, zmieszawszy się z innymi plemionami, wytworzyli naród ormiański. W 1950 r. na wzgórzu Arin-Berd w granicach obecnego miasta znaleziono tablicę pokrytą pismem klinowym. Napis głosił: *Z łaski boga Chaldi, Argiszti, syn Menua, tę mocną twierdzę zbudował, nadał jej imię Erebuni, dla potęgi kraju Biainili i ku przestrodze wrażeń*



Gmach rządu Armenii przy Placu Republiki

ty śniegiem łańcuch górski Kaukazu. Srebrzyście lśnił górujący nad pozostałymi szczytami olbrzym Elbrus. Niebawem zginął w mroku nocy. Pasażerowie w wygodnych fotelach zasnęli w drzemkę. Ale znowu zbudziły mnie głosy podróżnych zachwyconych czymś niezwykłym. Spoglądałem przez okno. W dole na ogromnej przestrzeni rozpościerało się morze światełek. Białe tworzyły szeregi przecinające się między sobą, żółte były bezładnie porozrzucane na czarnym tle. Jeszcze inne, białe błędne ogniki, z wolna poruszały się wśród tych nieruchomych szeregów światełek. Była to stolica Armenii – Erewan – widziana z lotu stalowego ptaka.



Muzeum Historii Armenii



Muzeum Erebuni

państw. Z innych źródeł ustalono, że działło się to w roku 782 p.n.e. Tak więc stolica Armenii ma już ponad 2800 lat. Jest to więc jedno z najstarszych istniejących miast świata. Natomiast ormiańska legenda wiąże nazwę miasta z biblijnym Noem, który, gdy z arki zobaczył wyłaniającą się z wody górę Mały Ararat, krzyknął: *Erewac!* (*Ona pojawiła się!*) i opuściwszy arkę zszedł w dolinę wraz z rodziną i zwierzętami.

W dziejach Armenii okresy rozkwitu przypadają na wieki przełomu starej i nowej ery oraz na X-XI w. Pozostałe stulecia obfitowały w liczne walki z najeźdźcami oraz powstania na tle społecznym i narodowym, skierowane przeciwko ciemnościom, początkowo Rzymianom, później Persom i Turkom, którzy ostatecznie krajem podzielili się w XVI w. W 1828 r. część północna z Erewanem znalazła się pod władzą carskiej Rosji. Naród ormiański nie uwolnił się wprawdzie od ucisku socjalnego i narodowego, ale przynajmniej stał się wolnym od groźby fizycznego wyniszczenia. W części Armenii, pozostałej we władaniu Turcji,



Hotel Armenia Marriot przy Placu Republiki

ką wagą, straganami i stosami śmieci. Na to gliniane miasto codziennie wieczorem wiały od gór silne wiatry, podnosząc tumany kurzu.

Dziś Erewan to milionowe miasto, w którym Ormianie stanowią 98% mieszkańców. Leży na 40. równoleżniku, ale na wysokości około 1100 m n.p.m., dlatego jego klimat charakteryzuje się dużą różnicą temperatur: w lipcu plus 25 st. C, a w styczniu minus 5 st. C.

Z przestronnych muzealnych sal wyszedłem na asfalt miasta, które stanowi wielki ośrodek przemysłowy i naukowy. Zdobyło sobie uznanie swoją produkcją elektroniczną, elektryczną, maszynami i wyrobami chemicznymi, także produktami spożywczymi, jak słynne armeńskie koniaki na starych spirytusach *Erewan, Armenia, Dwin* czy wina *Eczmiadzin, Woskiewaz, Arewszat* i inne. Wytyczono nowe ulice, zelektryfikowano miasto. Prąd i ciepło dały



Teatr Opery i Baletu



Stacja metra Hanrapetutian

miastu elektrownie wodna i ciepła. W transporcie miejskim pojawiły się autobusy, tramwaje i trolejbusy. W wodociągach miejskich popłynęła czysta źródłana woda. Nasadzenia leśne na okolicznych wzgórzach zlikwidowały wieczorne burze pyłowe. Rekonstrukcja miasta, zapoczątkowana w 1924 r. przez wybitnego architekta Aleksandra Tamaniana, nadała stolicy nowego wyglądu, łącząc styl narodowy z wykorzystaniem elementów starej architektury cerkiewnej i *tufu* jako materiału budowlanego. Wzniesiono gmach teatru opery i baletu (projekt 1937, zakończenie budowy 1953), halę centralnego rynku (1952), gmach muzeum starodruków Matenadaran (1959), budynek teatru dramatycznego (1965), kamienny kompleks memorialny ofiar holokaustu Ormian (1967). Taki Erewan utrwalił się w mej pamięci wówczas, gdy po raz pierwszy byłem tam w 1967 r.

Rozwiązanie ZSRR przyniosło Armenii wojnę z sąsiednim Azerbejdżanem o rozdzielającą te republiki górską krainę Karabach. Wojna trwała od 1992 r., kilkakrotnie działania wojenne zawieszano. Grozę wojny odczuł też Erewan. Jej ślady pozostały np. w parku miejskim, w którym drzewa wycinano na opał, a dziś są już nowe nasadzenia. Obecnie konflikt ten wydaje się być zakończony. Armenia musiała uznać prawo Azerbejdżanu do Karabachu. Zresztą w czasach radzieckich Karabach wchodził w skład Azerbejdżanu jako obwód autonomiczny, choć zamieszkiwała go liczna ludność ormiańska.

Erewan posiada od 1981 r. 13-kilometrową linię metra z 10 stacjami. W 2004 r. wycofano tramwaje, zastępując je trolejbusami produkcji rosyjskiej i francuskiej. Powstały nowe hotele, ulice w centrum stały się deptakami, a fontanna na Placu Republiki (poprzednio: Lenina) zaślniła kolorami i zagrała.

Uważny czytelnik, zwłaszcza ten, który zna anegdoty Radia Erywań, zapyta, dlaczego nieco inaczej piszę nazwę stolicy. Otóż starą, jeszcze carską nazwę Erywań przejęliśmy od Rosjan, ale ci już od 1936 r. zaczęli używać armeńskiej nazwy Erewan (z twardą końcówką) we własnej wersji pisowni jako Jerewan. Nie ma więc powodu, by w języku polskim nazywać to miasto inaczej niż czynią to jego mieszkańcy. Erewan jest na tyle daleko, że trudno tu mówić o spolszczeniu nazwy (jak Paryż czy Drezno).

Janusz Fuksa

Rozmyślania na szlaku

Nie wiem, czy szanowni czytelnicy pamiętają, kto był założycielem Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Jednym z nich był Mariusz Zaruski. Po pierwszej wojnie światowej generał Wojska Polskiego. Innym Mieczysław Karłowicz, muzyk i turysta, mieszkaniec Zakopanego. Później zginął pod lawiną. Chodził sam w Tatry! I to był straszny błąd! W góry nie chodzi się samemu! I nie chodzi się nocą! Dzisiaj pseudo-turyści biegają rozebrani zimą. Proponuję im marsze turystyczne organizowane w górach Europy, a także w Polsce. Ale oni zapewne nie czytają naszego magazynu i o tym nie wiedzą. Ale wracając do współczesnych czasów, muszę coś jeszcze napisać. Ostatnio był komunikat o odejściu dwóch polskich wspinaczy w Tatrach Słowackich. Ale komunikat nie zawierał informacji o tym, że Słowacy zamykają Tatry u siebie od listopada do czerwca. Przebywanie tam w tym okresie jest nielegalne! A służba ratunkowa, gdy jest wzywana do pomocy, to pobiera duże opłaty za akcję ratunkową! A u nas GOPR zastanawia się, gdy zamyka szlaki, gdy pseudo-turyści mimo zakazu wędrują po oblodzonych szlakach, łamiąc regulamin parku, czy nie obciążyć ich kosztami akcji. Myślę, że zapamiętaliby na całe życie. A trzeba pamiętać, że środki dla GOPR-u to środki budżetowe, czyli i nasze podatki! A GOPR ciągle ich ma za mało!

A wracając do postaci generała Mariusz Zaruskiego, udało nam się za zgodą Kuratorium Oświaty we Wrocławiu, aby SP nr 3 w tym mieście przyjęła imię tego Wielkiego Polskiego Patrioty. Zorganizowaliśmy tam wystawę obrazującą działalność generała. A wszystko to działało się w drugiej połowie lat osiemdziesiątych we Wrocławiu!

Wyszperal Stanisław Nosol, dziennikarz obywatelski

O XXVI Spotkaniu Śladowym w Bieszczadach

W dniach 28 lutego – 4 marca narciarze śladowi spod znaku Na Szlaku zawitali do Wetliny po raz 26., tym razem do Zajazdu pod Połoniną. Formalnie spotkanie trwało w takim właśnie terminie, ale z różnych przyczyn rozciągnęło się między 26.02., a 7.03. Kilka osób przyjechało nieco wczes-

niej. Zawsze podkreślam, że są to spotkania towarzysko-turystyczne i każdy wychodzi w góry na własną odpowiedzialność. Z tym nigdy przez te 26 spotkań nigdy nie było problemu. W razie przedłużania się wycieczki czy jakichś komplikacji następował kontakt telefoniczny, choć jak wiadomo



Autor na trasie śladem kolejki bieszczadzkiej

są w górach „czarne dziury” zasięgu, gdzie nie ma łączności. W XXVI Spotkaniu Śladowym brała udział spora sekcja piesza pod wodzą Janka Kani (autora wielu okładkowych zdjęć w Na Szlaku). Także narciarze podejmowali wycieczki piesze na przemian z narciarskimi w zależności od stanu śniegu. W najbliższej okolicy Wetliny są trzy trasy dla narciarstwa biegowego (śladowego), ale tylko jedna częściowo nadawała się do przebycia na nartach. To trasa śladem kolejki bieszczadzkiej. Ponieważ w większości jest zacieniona, było tam trochę śniegu, co pozwoliło na przebycie większości tras na nartach. Pozostałe dwie trasy przeznaczone dla narciarzy były całkowicie pozbawione śniegu. Dobrze

śniej, inne zostały jeszcze do końca tygodnia, korzystając z „obłądnej” pogody panującej w górach. Na spotkanie przybyło 21 osób, co można uznać za satysfakcjonującą frekwencję. Przyjechali z Torunia (4), Dębicy (4), Bielska-Białej (4), Mysłowic (1), Tarnowa (1), Warszawy (2), Lipin (1), Radziszowa (1), Krakowa (2) i Kościerzyny (1). Lista obecności wygląda całkiem imponująco i zajmie poczesne miejsce w archiwum Spotkań Śladowych. Równie imponująco wygląda karta wyjść w góry, bo taka jest zawsze na każdym spotkaniu. Dla porządku i bezpieczeństwa uczestnicy wpisują do karty planowaną trasę w górach. Jest to ważne, ponieważ wycieczki nie miały i nie mają formalnych

przewodników. Zawsze podkreślam, że są to spotkania towarzysko-turystyczne i każdy wychodzi w góry na własną odpowiedzialność. Z tym nigdy przez te 26 spotkań nigdy nie było problemu. W razie przedłużania się wycieczki czy jakichś komplikacji następował kontakt telefoniczny, choć jak wiadomo



Chwila odpoczynku w drodze przez Dzia



Uczestnicy Spotkania. Autor Jan Kania

warunki panowały na drodze w dolinie górnej Solinki, jednak wycieczka była niedługa i kończyła się przy bramie BPN z całkowitym zakazem wstępu. Ponieważ Bieszczady w strefie nadgranicznej naszpikowane są kamerami, mieliśmy wizytę Straży Granicznej, pewnie wypatrzyli nas na drodze w dolinie. Dużo satysfakcji przyniosły przejścia na trasie Przełęcz Wyżniańska – Bacówka Pod Małą Rawką – Mała Rawka – Dział – Wetlina. Tę trasę przebyły trzy niezależne zespoły. Podobnie trzy zespoły wybrały trasę Przełęcz Wyżna – schron Chatka Puchatka – Połonica Wetlińska – Przeł. Orłowicza – Wetlina. Były też wypad na Tarnicę z Wołosatego (2 zespoły), na Bukowe Berdo z Muczego (2 zespoły) i w Dolinę Sanu z Bukowca. Ponadto z powodu konieczności odpoczynku po męczących wyprawach dnia poprzedniego niektórzy uczestnicy odbyli spacer w najbliższą okolicę Wetliny, ot tak, żeby „nie zardzewieć”. Niezłe warunki śniegowe były w okolicy Muczego na trasie przy hotelu oraz na drodze „7”. Skorzystały z niej dwie Torunianki, ale nie na całej długości, zatrzymała je tablica „Uwaga niedźwiedzie”. Dlatego odbyły (już „na butach”) na Bukowe Berdo.

W sobotę i niedzielę (ostatni weekend ferii zimowych) panował na szlakach duży ruch, później cisza i spokój, choć turystów nie brakowało. Wycieczki przez Małą Rawkę i Dział przebiegły przy pięknej pogodzie i w dobrych warunkach śniegowych. Z Małej Rawki piękne widoki na obie połoniny i na grupę Tarnicy, i równie imponujące w stronę zachodnią. Oczywiście, po południu śnieg był już miękki na otwartych polanach, za to w miejscach zacienionych przymrożony, trzeba było uważać przy zmianie podłoża. Poniedziałkowy poranek 2 marca przywitał

nas mżawką, ale ponieważ prognoza godzinowa wskazywała poprawę pogody, wszyscy ruszyli w góry. Wyjście na Połoninę Wetlińską odbyło się chwilami we mgle, na górze przy Chatce Puchatka też szala nie było, roz pogodziło się już na trasie, gdy minęliśmy Osadzki Wierch (to dość nowa nazwa bezimiennej długo środkowej wierzchołki na Połoninie Wetlińskiej). Wspaniale prezentowało się Hnatowe Berdo widziane od strony Przełęczy Orłowicza i Smerek. Pozostałości śniegu w przebiegu Połoniny Wetlińskiej raczej nie nadawały się już do przejścia narciarskiego. Nie brakło go natomiast podczas narciarskiego wejścia na Tarnicę z Wołosatego. Poza krótkimi dwoma odcinkami ze stromymi schodami można było całą

trasę przebyć na nartach. Tak naprawdę te dwa odcinki można było obejść zakosami, kontrolując przebieg szlaku i trzymając kierunek (niezbędna dobra widzialność), ale jako lojalni turyści szanujący przepisy parku narodowego.....itd, itp. Wypad na Tarnicę na nartach to całkiem inne doświadczenie niż standardowe przejście piesze. A z Tarnicy daaalekie widoki na cały świat. Pod nogami całe Bieszczady Zachodnie i Wschodnie z Pikujem aż po Czarnohorę. Tego dnia widzialność była fantastyczna.

Do miejsc startowych na trasy wykorzystaliśmy uczynnych kierowców busów stacjonujących w Wetlinie. Wystarczyło wieczorem zadzwonić i powiadomić o zamiarze skorzystania z ich usług, a przed startem na wycieczkę zgłosić gotowość na kilkanaście minut przed umówioną godziną. Plecaki i narty ładowały w bagażniku busika, a my wygodnie dojeżdżaliśmy do wyjścia na szlaki. Namiary na przewoźników łatwo „wygooglać”. Niektórzy dysponują mniejszym i większym pojazdem, więc czy chętnych jest 8, czy 15 nie ma problemu. Jednocześnie podczas rozmowy z kierowcą można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy o współczesności Bieszczadów, jak np. o niechęci i protestach mieszkańców przeciwko planom rozbudowy Wielkiej Obwodnicy Bieszczadzkiej.

Ze swej strony dziękuję wszystkim uczestnikom spotkania za przybycie i aktywność, fajną, przyjazną atmosferę, dzielenie się spostrzeżeniami ze szlaków i wszelką pomoc, także za odpowiedzialne podejście do gór i rozsądne decyzje przy wyborze tras. Gospodyniom zajazdu zaś za wygodne pokoje, ciepłe kaloryfery i świetną kuchnię.

Juliusz Wystouch

Rajd na Raty 2026 – rozpoczęcie sezonu

W ostatnią niedzielę lutego 2026 roku Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił turystów na pierwszą w tym sezonie wycieczkę Rajdu na Raty.

Ponieważ przez okres zimy turyści nie mieli zbyt wiele ruchu, pierwsza wycieczka musiała być w miarę łatwa. Tak też było. Chociaż momentami trzeba było włożyć trochę więcej wysiłku, by pokonać wzniesienia. „Najciekawiej” było podczas podejścia na Koziniec, gdzie znajdują się resztki starej warowni. Ze względu na opady deszczu teren był bardzo podmokły, co przełożyło się na spore trudności w jego bezpiecznym przejściu.

Prowadzącym pierwszą wycieczkę był przewodnik sudecki Jarosław Kapczyński. Z turystami spotkał się na stacji kolejowej Wojanów, z której to po-



zauważyła, że woda w rzece podnosi się. Gdy zobaczyła unoszącą się na wodzie kołyskę z jej synkiem, było już za późno. Nie umiejąc pływać, padła na kolana, pogrążając się w modlitwie, prosząc Boga, by ocalił jej dziecko. I wydarzył się cud. Kołyska osiadła nieco dalej w przybrzeżnych zaroślach. Na pamiątkę tego wydarzenia umieszczono na moście kamienną rzeźbę przedstawiającą dziecko. Po zbudowaniu nowego mostu kamień ten zachowano, a obok zamontowano tablicę z opisem całego wydarzenia.

Pierwsze przejście zakończono na jeleniogórskim Zabobrze

prowadził wszystkich do pobliskiej Dąbrowicy, gdzie znajduje się neogotycki kościół będący od 2007 roku Sanktuarium Matki Bożej Jasnogórskiej – Uzdrawienia Chorych.

Po krótkim odpoczynku i zdobyciu Kozinca wznoszącego się na 462 metry n.p.m. uczestnicy wycieczki dotarli do dawnej miejscowości Grabary, by zobaczyć zachowaną ze starego mostu kamienną tablicę upamiętniającą wydarzenie z dawnych czasów. Według przekazu pewna pracznica zajęta pracą nie





takich przejść (przewodnicy sudecy albo przodownicy turystyki pieszej i górskiej). Dlatego wędrowki w ramach Rajdu na Raty są bezpieczne. Uczestnicy nie ponoszą żadnych kosztów poza opłatami komunikacyjnymi. Członkowie PTTK posiadają ubezpieczenie od następstw nieszczęśliwych wypadków w ramach opłaconej składki członkowskiej, a osoby niezwiązane z PTTK ubezpieczają się we własnym zakresie. Oprócz przejść pieszych w 2026 roku będą zorganizowane jedno i wielodniowe wyjazdy autokarowe. Odwiedzimy m.in. Tatry polskie i słowackie czy wybrzeże Bałtyku.

Zwyczajem takich spotkań są konkursy krajoznawcze, w trakcie których turyści wykazują się wiedzą o naszym regionie. Tym razem tematem konkursu była znajomość historii Muzeum Karkonoskiego posiadającego olbrzymie zbiory sztuki, archeologiczne, historyczne, etnograficzne, w tym kolekcję szkła artystycznego czy grafiki Józefa Gielniaka. Nagrodą w konkursie był przekazany przez dyrektora Muzeum Karkonoskiego panią Julitę Zaprucką katalog właśnie otwartej wystawy prac Friedricha Iwana. Te pięknie wydane pozycje otrzymali z rąk prezesa Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” także komandor rajdu Wiktor Gumprecht i wicekomandor Jarosław Kapczyński.

Krzysztof Tęcza

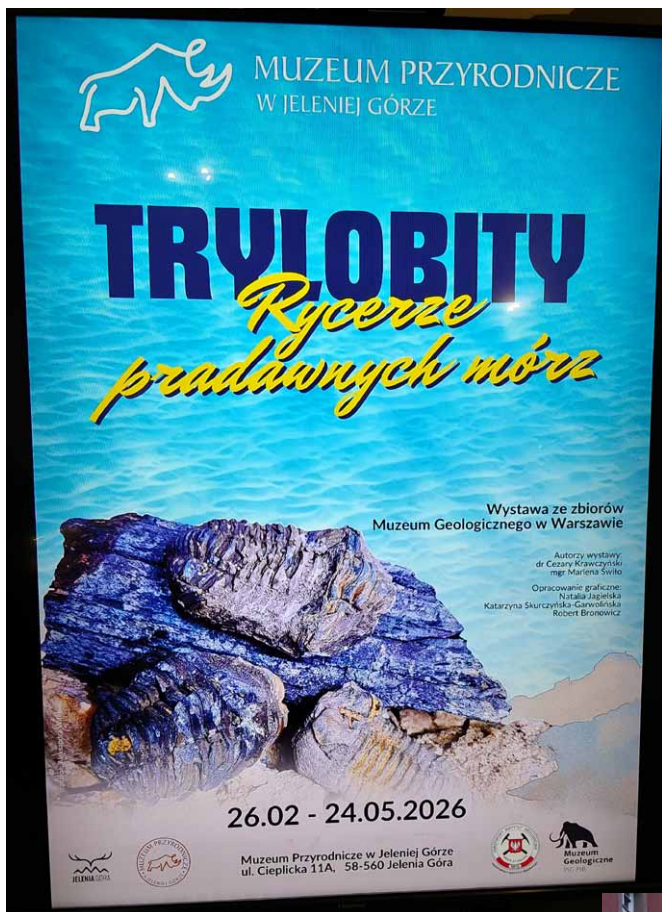
w Brzozowym Zakątku, na terenie którego w 2018 roku powstała Zabobrzańska Stanica Rowerowa. Obiekt powstał w ramach projektu „Żyj, mieszkaaj, pracuj w Jeleniej Górze!” w ramach programu „Rozwój lokalny” i kosztował ponad 3 mln złotych.

Podczas inauguracyjnego ogniska komandor rajdu Wiktor Gumprecht przybliżył plany wycieczek w rozpoczętym sezonie oraz przypomniał o zasadach uczestnictwa w kolejnych spacerach. Dodam, że Rajd na Raty organizowany przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” to ponad 40 wycieczek odbywających się w każdą niedzielę od końca lutego do początku grudnia. Są to trasy piesze prowadzone przez kadrę PTTK posiadającą uprawnienia do przeprowadzania

Trylobity w Muzeum Przyrodniczym

26 lutego 2026 roku miał miejsce wernisaż wystawy „Trylobity – rycerze pradawnych mórz” ze zbiorów Muzeum Geologicznego w Warszawie. Te wymarłe 250 milionów lat temu opancerzone stawonogi przez miliony lat dominowały w środowiskach morskich, przystosowując się do zajmowanych środowisk. Dzisiaj możemy podziwiać skamieniałości trylobitów pochodzące z obszaru niemal całego świata. Jeśli chodzi o Polskę, najwięcej takich skamieniałości pozyskiwanych jest z głazów narzutowych u podnóża klifów w rejonie Kępy Redłowskiej i Kępy Oksywskiej. Kolekcjonerzy skamieniałości najchętniej w ich poszukiwaniu wybierają się nad brzeg Bałtyku po silnych sztormach. Można wówczas znaleźć wiele ciekawych okazów.





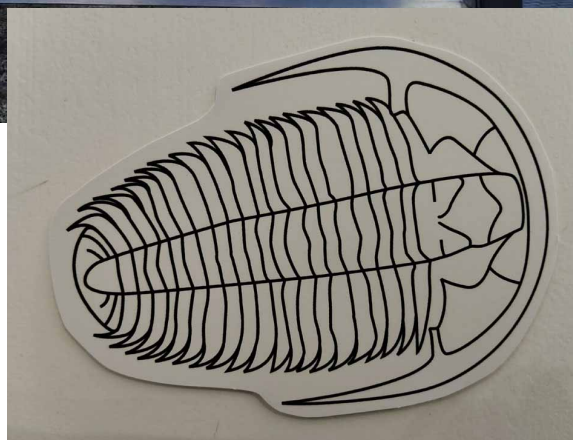
w miarę upływu czasu twardniał, dając im stosowną ochronę.

Najbardziej fascynujące dla badaczy tych stonogów są ich oczy. Umiejscowione na policzkach składały się z soczewek zbudowanych nie tak jak u innych zwierząt z materii organicznej, tylko z kryształów kalcytu. Ilość takich soczewek w jednym oku mogła dochodzić do 15 tysięcy. Znajdujące się za soczewkami fotoreceptory odbierały i przesyłały do mózgu bodźce świetlne.

Udostępnione w Muzeum Przyrodniczym okazy pokazują, jak fascynujący jest świat przyrody. Możemy tutaj nie tylko zobaczyć poszczególne okazy skamieniałości trylobitów, ale dowiedzieć się o ich życiu, sposobach polowania czy unikania zagrożeń. Ciekawostką jest fakt, że pomimo ich wymarcia żyją dzisiaj ich krewniacy. Zaliczamy do nich pajęczaki, skrzyplące i kikutnice zwane czasami morskimi pajakami.

Skamieniałości trylobitów używane były już 15 tysięcy lat temu jako amulety chroniące przed nieszczęściami. Wiemy, że nosili je mieszkańcy Europy,

Szukając trylobitów, warto wiedzieć, że przez 250 milionów lat zwierzęta te należące do wymarłej gromady stawonogów, żyjące w paleozoicznych morzach „rozrosły” się do ponad 20 tysięcy gatunków. Oczywiście, różniły się one wielkością, niektóre okazy osiągały kilkadziesiąt centymetrów długości. Swoją nazwę zawdzięczają trójdzielności pancerza złożonego z tarczy głowowej, segmentowanego tułowia i tarczy ogonowej. Trylobity, zwiększając masę swojego ciała, przechodziły wylinkę. Po pozbyciu się zbyt małego pancerza pozyskiwały nowy, który



Ameryki Północnej, Chin i Australii. Nazywano je „małymi wodnymi owadami”, „kamiennymi skorpionami” a także „kamiennymi motylami”.

Krzysztof Tęcza

Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (58)

(Z dzieła Józefa Sykulskiego „366 wiadomości o Dolnym Śląsku – kalendarz i notatnik na rok 1948”)

Pod datą 5 kwietnia:

Fabryka zegarów w Świebodzicach

Fabryka zegarów mechanicznych w Świebodzicach jest jedyną tego rodzaju wytwórnią w Polsce. Składa się ona z dwóch wielkich hal: w jednej produkuje się wszelkie maszynerie do zegarów, w drugiej zaś montuje się mechanizmy w drewniane pudła.

Mimo że fabryka ta została przejęta przez władze polskie dopiero w lipcu 1945 r., już w październiku tegoż roku wypuściła pierwsze zegary. Pracę nad fabrykacją zegarów opóźnia w dużym stopniu przestarzały sprzęt fabryki: nowe maszyny mamy otrzymać w ramach odszkodowań wojennych z Niemiec.

W kwietniu 1947 r. fabryka zatrudniała 250 pracowników umysłowych i fizycznych i produkowała przeciętnie od 500 do 700 zegarów wszelkich typów. Dumą zakładu są luksusowe, stojące zegary biurkowe, o subtelnym tonie przy wybijaniu godzin. Do kwietnia 1947 ogółem wyszło z fabryki świebodzickiej około 9.000 zegarów.

Pod datą 17 kwietnia:

Fryderyk Szopen u pustelnika w Dusznikach

Jednym z otaczających Duszniki Zdrój wzgórz jest wzgórze Kalwaryjskie, zwane tak od znajdującej się na nim kalwarii. Gdy szalejąca w 1680 r. w okolicach Dusznik epidemia oszczędziła miasto, postanowiono zbudować na szczycie tego wzgórza kaplicę. 12 listopada 1698 r. uzyskano zezwolenie na jej wzniesienie, a 25 czerwca 1704 r. odbyło się jej poświęcenie. 17 kwietnia tegoż roku uzyskano zezwolenie na zbudowanie obok kaplicy pustelni. Pustelnik mieszkał w niej jeszcze w 1826 r., o czym pisze Szopen przebywający wówczas na kuracji w Dusznikach, które nazywały się wtedy po niemiecku Bad Reinerz:

„...byłem już na górze zwanej Einsideley (pustelnia), bo tam jest pustelnik. Wszedłszy na górę, jedną z wyższych w Reinerz, wchodzi się po stu kilkudziesięciu schodach w prostey linii, nieledwie pionowo, z kamienia zrobionych, do samego pustelnika, zkad przepyszny widok na cały Reinerz”...

Pod datą 26 kwietnia:

Chojnów

Jak łatwo zauważyć, nazwa miasta Chojnów (tak pisana przez kronikarza polskiego Marcina Kromera) pochodzi od wyrazu „chojna” (inne polskie miasta: Chojnice, Chojna, Chojny itd.), ale Niemcy mimo to wyprowadzają ją od wyrazu „Hang” (pochyłość) i mówią, że pisane przez nich Haynau oznacza to samo co Hagenau, czyli miasto leżące na granicy pochyłości!

Prawa miejskie Chojnów uzyskał od księcia legnickiego Bolesława Rozrzutnego w 1336 r. 26 kwietnia 1428 r. na miasto napadli husyci i mieli jakoby wymordować całą młodzież do lat piętnastu, to samo podobno uczynili ze znajdującymi się w Chojnowie księżmi.

Bardziej od husytów zniszczyła Chojnów ostatnia wojna: ocalał w nim jednak kościół, budowany przez Jadwigę, żonę księcia Henryka Brodatego, w obecnym stanie z 1468 r., ocalały i mury obronne z wieżą Tkaczy, na której widzimy herb rodziny Burzywojów.

Józef Sykulski

Wybrał: Janusz Fuksa



**Źródło wody mineralnej „Agata” w Dusznikach-Zdroju.
Fot. Piotr Dacko**

August Froehlich – zapomniany syn Chorzowa, śląski obrońca polskich wiernych

Historia tego odważnego Ślązaka jest niezwykła. Choć w samym Chorzowie panuje dziś swoista amnezja wobec tak wybitnej postaci, warto przypomnieć jego życie. To historia człowieka, który zapisał się złotymi zgłoskami w dziejach Kościoła i w obronie ludzkiej godności – a o którym na Śląsku zbyt często milczy się niewygodnie. Jego postawa w trudnych czasach międzywojennych i w okresie narastającego totalitaryzmu była jednoznaczna. Był niezłomnym przeciwnikiem narodowego socjalizmu. Walczył z nim – i za tę postawę oddał życie.

August Froehlich urodził się 26 stycznia 1891 roku w Królewskiej Hucie (dziś Chorzowie), w rodzinie zamożnych przedsiębiorców. Szkołę podstawową ukończył w Bytomiu, a gimnazjum w Legnicy. W 1912 roku rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Jego naukę przerwał wybuch I wojny światowej.

24 grudnia 1914 roku został powołany do I Pułku Grenadierów Gwardii im. Cesarza Aleksandra w Berlinie. Doświadczył tam surowej, pruskiej dyscypliny, która budziła w nim sprzeciw i wstręt do wojskowej bezwzględności. W czerwcu 1915 roku trafił na front rosyjski, gdzie odniósł ciężkie rany. Po rekonwalescencji wysłano go na front francuski. Za odwagę został odznaczony Krzyżem Żelaznym. Podczas jednego z ataków powietrznych ponownie odniósł rany i dostał się do niewoli angielskiej.

Po zakończeniu wojny, w 1920 roku, powrócił do alumnatu we Wrocławiu, by dokończyć studia teologiczne. Silna wiara oraz wartości wyniesione z rodzinnego domu towarzyszyły mu nawet w najcięższych chwilach. Doświadczenia wojenne zahartowały go i przygotowały do przyszłej posługi w warunkach narastającego niemieckiego totalitaryzmu.

19 czerwca 1921 roku otrzymał święcenia kapłańskie z rąk kardynała Adolfa Bertrama w katedrze wrocławskiej. Po prymicji w rodzinnej parafii św.



Barbary w Królewskiej Hucie został skierowany do parafii św. Edwarda w berlińskiej dzielnicy Neukölln. Warto przypomnieć, że do 1930 roku diecezja wrocławska obejmowała nie tylko Śląsk, ale również Pomorze i Brandenburgię, w tym Berlin!

13 sierpnia 1930 roku, na mocy bulli *Pastoralis officii nostri*, utworzono diecezję berlińską. Od tego momentu ks. Froehlich był już na stałe związany z Berlinem.

1 kwietnia 1931 roku objął funkcję rektora kościoła św. Józefa w berlińskiej dzielnicy Rudow. Tam zetknął się z agresywną propagandą narodowosocjalistyczną, która przenikała nawet do chóru kościelnego. Jego śląskie wychowanie i wierność nauce Kościoła nie pozwalały mu tolerować ideologicznych wypaczeń. W konsekwencji rozwiązał chór, co naraziło go na skargi do kurii i brak wsparcia przełożonych. Osamotniony, poprosił o przeniesienie.

Mimo trudności i światowego kryzysu gospodarczego nie zapominał o ubogich. Pochodząc z zamożnej śląskiej rodziny, regularnie wspierał potrzebujących środkami finansowymi z własnego majątku.

Rektor w Drawsku Pomorskim

1 lipca 1932 roku objął stanowisko rektora kościoła św. Pawła Apostoła w Drawsku Pomorskim

Nr. 2247 Dachau, den 25. Juni 1942 C.

Der Geistliche August Froehlich katholisch

wohnhaft in Rathenow/Westhavelland, Friesackerstraße 3

ist am 27. Juni 1942 um 15 Uhr 25 Minuten in Dachau II. verstorben.

Der Verstorbene war geboren am 26. Januar 1891 in Königschütte/Oberschlesien.

(Standesamt Königschütte Nr. 181/1891)

Vater: Anton Froehlich, verstorben.

Mutter: Johanna Froehlich, geborene Sock, verstorben.

Der Verstorbene war nicht verheiratet.

Eingetragen auf mündliche-schriftliche Anzeige der Staatspolizeistelle München, vom 23. Juni 1942.

Der Angehende

Vorgelesen, genehmigt und unterschrieben

Die Übereinstimmung mit dem Erdbuch wird bescheinigt

Dachau, den 27.6.1942

Der Standesbeamte Der Standesbeamte

In Vertretung In Vertretung

Todesursache: Versagen von Herz und Kreislauf, bei Darmkatarrh.

Geschließung d. Verstorbenen am in (Standesamt Nr.)

Konzentrations-Lager Buchenwald

Familienname: Froehlich Polit. Häftling Nr. 1701
Vorname: August "K." Hftl.

geb. am 26.1.91 in Königschütte
Beruf: Geistlicher
Religion: kath. Staat: DR
verh., leb., gesch., verw. ledig Kinder ---
letzter Wohnort: Rathenow
Friesackerstr. 3

Abz. d. nächsten Angehörigen: Schwester: Klara Kutscha, Dornhennersdorf b. Zwickau

Grund: hat Beschwerden von polnischen Zivilarbeiterinnen an die Arbeitgeber weitergeleitet.

Schulhaft angeordnet: am 18.5.41 durch (Behörde): Stapo Potsdam
Bisherige Parteizugehörigkeit: Zentrum 1921-33
Vorstrafen: 2 Unterlass.d.Strassenpflege 20 Mk. Geldstrafe

eingeliefert: 31.7.41
entlassen: 7.8.1942
überführt: R. 2 Reichsleid 12.7.41
zurück:

L.T.S. FOTO No. 987 (Cliché) 7

(wtedy nazywanym Dramburg). W kronice parafialnej zapisał:

„Przyszedłem 1 lipca 1932 na front Pana Boga do Diaspory w Drawsku na Pomorzu. Nikt nie starał się objąć tego miejsca. Przyszedłem tu zmuszony nagłą koniecznością i pocieszałem się: Komu Bóg chce okazać prawdziwą łaskę, posyła go w szeroki świat. Społeczność Drawska przyjęła mnie miło i sympatycznie.”

Parafia obejmowała rozległy teren zamieszkały przez około 600 katolików, z czego w samym Drawsku było ich zaledwie 35. Wierni byli rozproszeni w

promieniu nawet 80 kilometrów. Aby móc do nich docierać, ks. Froehlich zakupił z własnych środków samochód – co wówczas było rozwiązaniem pionierskim. Dzięki temu mógł sprawnie odprawiać nabożeństwa, przygotowywać dzieci do I komunii świętej i nieść pomoc ubogim. Zjednał sobie sympatię także wśród protestanckiej części społeczności.

Po dojściu do władzy narodowych socjalistów jego aktywność duszpasterska zaczęła budzić wrogość lokalnych działaczy partyjnych. Oskarżano go o rzekome nadużycia finansowe – bezpodstawnie. W rzeczywistości większość swoich dochodów przeznaczał na pomoc potrzebującym.

Szczególnym punktem sporu stała się kwestia pozdrowień. Ks. Froehlich konsekwentnie używał tradycyjnych chrześcijańskich formuł: *Grüss Gott i Gelobt sei Jesus Christus (Szczęść Boże! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus)*. W czasach, gdy państwo narzucało formę „Heil Hitler”, była to postawa odwagi i świadomego sprzeciwu. Gdy kierownictwo RAD (Służba Pracy Rzeszy) w Połczynie zażądało stosowania hitlerowskiego pozdrowienia, odpowiedział pisemnie, uzasadniając, że jako kapłan może posługiwać się jedynie chrześcijańskim wyznaniem wiary.

W konsekwencji zakazano mu odprawiania nabożeństw w obozach pracy, a jego odwołania doprowadziły do przesłuchań przez Gestapo w Koszalinie. Nie ugiął się. Publicznie bronił duchowieństwa przed zniesławieniami w prasie nazistowskiej. Został ukarany grzywną, lecz po apelacji sąd w Stargardzie go uniewinnił.

Proboszcz w Rathenow

1 lipca 1937 roku został proboszczem parafii św. Jerzego w Rathenow. W 1941 roku dwukrotnie wystąpił w obronie polskich robotników przymusowych zatrudnionych

w zakładach optycznych Emila Buscha AG. Interwencje te stały się bezpośrednią przyczyną donosu do Gestapo.

20 marca 1941 roku został aresztowany. Po krótkim zwolnieniu ponownie uwięziono go 20 maja. Trafił do więzienia w Poczdamie, a następnie do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. W kwietniu 1942 roku przewieziono go do Ravensbrück, gdzie doświadczył brutalnych szykan. Ostatecznie trafił do tzw. Priesterblock w KL Dachau – bloku przeznaczonoego dla duchownych.

Choroby, wycieńczenie i okrutne traktowanie przez strażników doprowadziły do całkowitego wyniszczenia organizmu.

Zmarł 22 lipca 1942 roku. Został pochowany 28 lipca 1942 roku na cmentarzu St.-Matthias w Berlinie. Mimo zakazów wiele osób przyszło oddać mu hołd. Rodzina otrzymała jego sutannę – przesiąkniętą krwią.

Nie zważając na grożące mu konsekwencje – utratę wolności, a nawet życia – ks. August Froehlich stał w obronie maltretowanych polskich robotników przymusowych. Jego niezłomność i wierność

sumieniu uczyniły go celem nazistowskiego aparatu represji. Zapłacił najwyższą cenę.

Zapomniany w Chorzowie

Jest jednym z tych Ślązaków, o których pamięć domaga się przywrócenia. Szkoda, że władze i radni miasta Chorzów, z którego się wywodził, zapomnieli o tak wybitnym chorzowianinie – Ślązaku i katoliku. Nie wstydzmy się ani wiary, ani pochodzenia, bo takie jednostki jak Froehlich żyły, broniąc tego, co na Śląsku było istotą: szacunku do drugiego człowieka i jego wiary.

Maciej Mischok

SUDETY W POEZJI (40)

(Z dzieła *Sudety w poezji, wybór tekstów XVII-XX w.*, opracowanego przez Przemysława Danielewskiego oraz Piotra Dacko, Elżbietę Książek i Witolda Papierniaka, z 1986 r.)

Bogusław Michnik

GÓRY STOŁOWE

tyle słów mi potrzeba
ile progów na górę
żeby móc określić
wznoszenie uparte
stopnie zabarwienia
mozolne i różne
patrzenie chłonne
krajobraz wierny
powietrze wtłoczone
w kamienny masyw

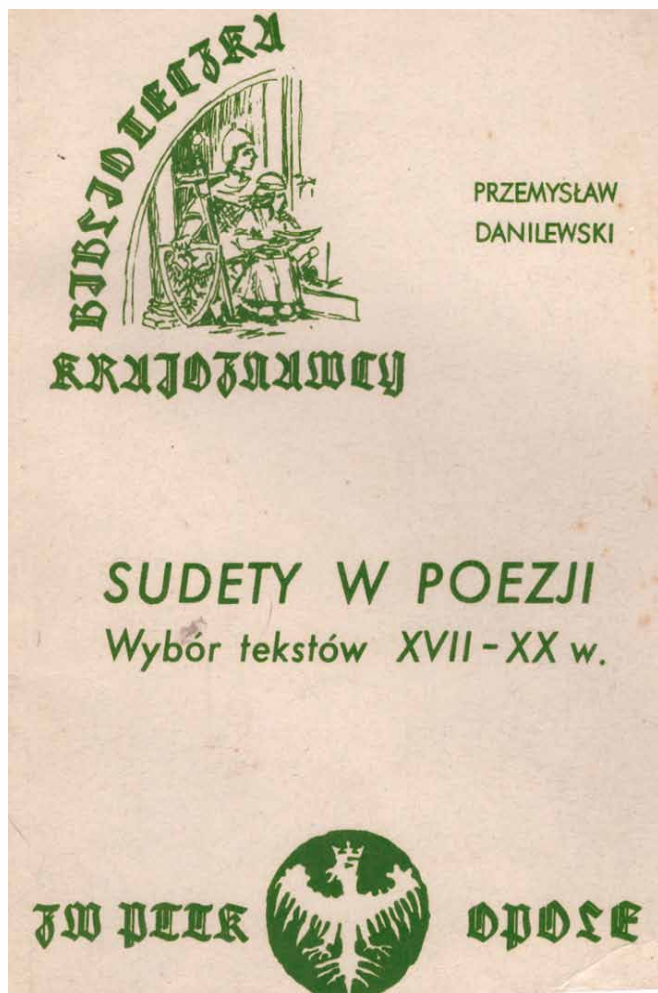
dużo słów mi potrzeba
żeby wyszły do ludzi
dinozaury karmione
powolną korozją
spłoszone ptaki
usadzone w bryle
z kształtem obumarłym
niedźwiedzie splukane
do samego kamienia

Bogusław Michnik (ur. 1945), poeta, karykaturzysta, fotografik. Jego rodzice po powrocie z przymusowych robót w Niemczech osiedlili się we wsi Ulinia koło Łeby, tam urodził się Bogusław. Szkołę podstawową skończył w Szczecurzu. Rodzice wraz z nim przeprowadzili się do Dzikowca (1959). Bogusław ukończył liceum pedagogiczne w Kłodzku (1965). Podjął pracę w Powiatowym Ośrodku Kultury. Debiutował wierszami w czasopiśmie *Odra* (1965). Dołączył do grupy poetyckiej Anny Zelenay

i Jana Kulki. Brał udział w przeglądach *Kłodzka Wiosna Poetycka*, później sam je organizował. Drukował w *Literaturze, Poezji, Życiu Literackim, Tygodniku Kulturalnym, Współczesności*. Rysował karykatury, zwłaszcza literatów. Jego pasją była fotografia artystyczna. Prace wystawiał w kraju (m.in. we Wrocławiu, w Kłodzku, Jeleniej Górze), w Czechach, Niemczech, Francji, Hiszpanii, Japonii i Ameryce Południowej. Otrzymał medal Za Zasługi dla Miasta Kłodzka (1974), odznakę Zasłużony Działacz Kultury (1977), 2 Nagrody Wojewody Wałbrzyskiego (1985, 1998), odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej (2003). Wydał poezje: „Siedząc tak w głębi” (1967), „Wiersze” (1972), „Dziesięć wierszy” (1977), „Teksty. Poezja konkretna” (1977), „Wiersze ostatnie o Matce” (1981), „Epizod” (1986). Wydał opracowania: „Zbliżenia: IX Kłodzka Wiosna Poetycka” (1972), „Motyw Kłodzki” (1972), „Motywy: przypisy do Ziemi Kłodzkiej” (1976).

POSŁOWIE

Tym 40. odcinkiem kończymy cykl „Sudety w poezji”. Autor zbioru wierszy pod powyższym tytułem Przemysław Danielewski we wstępie pisał: „Sudety – około 300-kilometrowej długości łańcuch górski. Niewyczerpane bogactwo krajobrazów, od niewinnych pagórków Przedgórze Sudeckiego, po wyniosłe wierzchowiny Karkonoszy. Nie mniejsze bogactwo miast, miasteczek i wsi, lasów, pól i rzek położonych w górach i u ich podnóża”. (...) „Podobnie, jak inne polskie góry, miały Sudety w ciągu minionych lat swoich piewców. Ich utwory były jednak rozproszone”.



antologia poezji sudeckiej, sławiąca nieprzemijający urok sudeckich pejzaży.

Oto dla przypomnienia lista autorów wierszy o Sudetach opublikowanych w NA SZLAKU od stycznia 2023 r.: 1) Walenty Roździeński, 2) Kazimierz Brodziński, 3) Zygmunt Bogusz Stęczyński, 4) Roman Zmorski, 5) Kornel Ujejski, 6) Adam Chodzyński, 7) Norbert Bończyk, 8) Konstanty Damarot, 9) Edward Kozikowski, 10) Janina Zabierzewska, 11) Włodzimierz Słobodnik, 12) Mieczysław Jastrun, 13) Jan Sztaudynger, 14) Jan Baranowicz, 15) Marian Jachimowicz, 16) Aleksander Baumgarten, 17) Teofil Kowalczyk, 18) Waclaw Mrozowski, 19) Jan Maria Gisges, 20) Jerzy Kolankowski, 21) Wilhelm Szewczyk, 22) Jan Koprowski, 23) Zygfryd Sawko, 24) Tadeusz Chróścielewski, 25) Tadeusz Różewicz, 26) Elżbieta Miłanczówna, 27) Franciszek Fenikowski, 28) Włodzimierz Piotrowski, 29) Jerzy Zenon Łukaszewicz, 30) Mieczysław Jasek, 31) Anna Zeleńay, 32) Andrzej Pałosz, 33) Henryk Szyłkin, 34) Urszula Kozioł, 35) Edward Zych, 36) Roman Drahan, 37) Łucja Danielewska, 38) Jan Kulka, 39) Antoni Matuszkiewicz, 40) Bogusław Michnik.

Nasz cykl zakończmy wierszem Zygmunta Bogusza Stęczyńskiego:

Autorowi udało się zebrać wiersze o Sudetach, co potraktował jako „próbę spłacenia długu tym tak pięknym, a jakby pomijanym ciągle w literaturze pięknej górą”.

A nam udało się, jak sędzę, przypomnieć poetów i ich wiersze o Sudetach czytelnikom NA SZLAKU. Ale zbiór, o którym mowa, powstał w 1986 r. Od tego czasu pojawiło się wiele równie pięknych górskich wierszy. Może wśród czytelników czasopisma znajdzie się miłośnik poezji górskiej, który przygotuje nowy zbiór wierszy, napisanych później? Powstałaby w ten sposób pełniejsza

„Składając Kopie Śnieżnej me uszanowanie,
Śmiem przed obliczem ziomeków wykryć moje
zdanie:

Że ktokolwiek alpejskich widoków używał,
Bałkan i Himalaje w Azji przebywał,
Albo Kordyliarów podziwiał wydroże,
Jeszcze i w górach Szląska zachwycać się może
I wstydzić się zgubnego przesądów zwyczaju,
Że szukał tego w świecie, co ma w swoim kraju!”

(Z poematu „Sudety”)

Wybrał: Janusz Fuksa

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony „Złotą Honorową Odznaką PTTK” w 2002 r. oraz Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Turystyki”
przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931